№ 19. Warszawa, dnia 30 Kwietnia (12 Maja) 1877 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. | Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

PAWEŁEK

(z Legendy wieków Wiktora Hugo)

przekład S. z Ż. D.

Przyszło na świat dzieciątko; w tejże samej dobie
Matka zeszła ze świata.
Gdy spoczęła w grobie,
Dziadek podjął niemowlę; nieraz to, co *było*
Strzeże tego co *będzie!* Serce nową siłą
Drgnęło w nim, gdy dziecinę przytulił do łona,
Sam je tuli i niańczy jak matka rodzona.
On stary, już mu tylko na żywota drodze
Słodkim być przewodnikiem; niech ku niemu w trwodze
Idzie ten, czyja dusza boleścią przejęta;
Niech ku niemu dzieciątko wyciągnie rączęta,
Gdy widnokrąg zasłany chmury tak czarnemi,
Wypada, by ktoś jeszcze był dobrym na ziemi,
By w sercu miłosierdzia przechował zdrój czysty,
A gdy zabraknie dziecku piersi macierzystej,
By kozę karmicielkę przywiódł mu z parowu,
Uczył słowa *kochajmy*, i w myśl temu słowu,
Poranek dni sierocych otoczył pogodą;
By z doświadczeniem starca, łączył duszę młodą.
To też Bóg jeśli matkę całunem spowinie,
Kochającego dziadka przysyła dziecinie,
Wskrzesze iskrę z pod lodu i cudem pomieści,
W stygnącej piersi starca, kwiat uczuć niewieści.

Od pierwszej chwili życia Pawełek sierotką.
Wielkiem okiem błękitnem patrzy na świat słodko,
Jakieś niezrozumiałe bełkocze wyrazy;
Ciałko jego niewinne, duszyczka bez skazy;
Istny Boży Aniołek! Z miłością głęboką,
Starzec na pół zagasłe utopił w nim oko,
Wie, że zachód dni jego, zbliża się do końca;
Jak mu duszę raduje ta zorza wschodząca!

Dziadek zabrał do wioski maleńką dziecinę.
Ogarniesz ztąd oczyma szeroką dolinę;
Na polu falującem podzwania kłos nowy,
Kłębem żywicznej woni, bucha las jodłowy.
Za domem piękny ogród, pełen drzew i kwiatów,
W pośród takiej przyrody i tych aromatów
Pod żywotnem ich tchnieniem krzepko dziecię rośnie,
A kwiatki na Pawełka nie patrzą zazdrośnie.

W cieniu grusz i jabłoni, kolczysta jerzyna
Szeroko swe gałązki po ziemi rozpina.
Przez wierzbowe konary coś tam się zabieli:
Czy wodnica z głębokiej wybiegła topieli?
Nie, to promyk słoneczny odbił się na wodzie.
Roje ptaszą na gniazdkach świegocą w swobodzie;
W błękitach zasłyszane powtarzają wieści;
Ukryty pod murawą zcicha zdrój szeleści.

Ogród śliczny — wszak prawda, gdy rozkwitnie w lecie?
O ileż on cudniejszy gdy w nim ujrzysz dziecię,
A przy wnuczku dziadunia z głową jak śnieg białą.
Dziecięciu obok róży, starcu być przystało
U boku niemowlęcia, gdy z nóżki bosemi
Pół-zanurzone w trawie tarza się po ziemi.
Pawełek zrazu wątły, istna pajęczynka:
Azaliż grób za matką nie powoła synka?
Gdy się rodził wiatr zimny powiewał zdradziecko.
Koza karmi go mlekiem, i wyrasta dziecko.
Braciszkiem mu koziołek co pląsa po łące,
Dziecię goni oczyma to koźlę skaczące,
Chciałoby wstać na nóżki: — Chodź-że dziadek rzecze:
Słusznie! chodzić po ziemi, to prawo człowiecze!
Dzieciątko drży jak listek, ramionka się chylą,
Każdy mu sprzęt czy kamień Charybdą lub Scyllą,
Słaba stopka się chwieje, kolanko się zgina,
Drży, a przecież wesoło spogląda dziecina.

I gałązka choć drżąca wszak rozkwita wiosną!
Pawełek rok już skończył i siły w nim rosną,
Już postawił krok pierwszy, potem drugi!... Matki!
Chcecież widzieć Pawełka — patrzcie na swe dziatki!
Cudny obraz, ach! dziwnież raduje nam oczy.
Trop w trop, stary dziadunio za dziecięciem kroczy.
—„Ostrożnie. Dalej. Naprzód. Tak. O własnej sile!“
Dziecię słucha i patrzy, zawaha się chwilę,
I ruszy coraz żwawiej!.. Dziadunio schylony
Pobieży ku dzieciątku, ogarnie ramiony,
Chwiejący, chwiejącemu podpory udziela,
Ileż potem tryumfu, śmiechu i wesela!
Nie opisać nam gwiazdki co na niebie świeci,
Ni jasnego słoneczka, ani śmiechu dzieci.
Chwała, miłość, pogoda, dzwoni w nim tak słodko.
Jakaż duma niewinna wstrząsa tą istotką,
Jak szczęśliwa w prostocie, w niewinności swojej,
Pyszni się że raz pierwszy na nożętach stoi!
Śmiech dziecka, ileż mówi o Bogu, o Niebie!

Starzec postać poważna jak Mag na Horebie,
Przy drogim swoim wnuczku dziaduniem był tylko,
Zapatrzony w dziecinę, śledzi z każdą chwilką
Jak promyk coraz głębiej młody mózg przenika,
Wsłuchuje się rozkosznie w szczebioty chłopczyka,
Widzi, z jakim się trudem dziecka myśl skrzydlata,
Plącze w sieć słów nieznanych, to w górę ulata,
Znów spada, i gdy wątku zabrakło dziecinie,
Myśl w słowo niezwiązana, piosnką się rozpłynie.

Pawełek wciąż bełkocze: o domowe ściany
Rozlega się tych gwarów dźwięk niezrozumiany,
To grzechocze wesoło, to krzyczy, to śpiewa,
Szumem liści w ogrodzie wtorują mu drzewa.
I Pawełek szczęśliwy, oh! bardzo szczęśliwy!
On całym trząsa domem i dziadunio siwy
Ulega Pawełkowi: — Stój dziadziu! on staje:
— Chodź!... idzie. Daj mi rękę! on rękę podaje.
Nad zimą, wiosna musi zapanować młoda,
Zawsze trwa między nimi niezmącona zgoda.

Wnuk zawsze rozkazuje, dziadek zawsze słucha;
Chodzą razem, pieśń ptasząt wpływa im do ucha.
Wciąż bawią się wesoło jak zwyczajnie dzieci,
Ten ma lat osiemdziesiąt a tamten rok trzeci.
Wątek myśli rozwija w chłopcu dziadek stary,
Dziecko w starcu rozpala zgasłą iskrę wiary.
Rzekłbyś że zamieniając myśl, duszę i słowo,
Jeden drugiemu wskazał stronę Boga nową.
Słodkie we dnie wrażenia przyjmują w połowie,
Jedne sny im zbiegają nocą na wezgłowie,
I nigdy dusza z duszą nie sprzęgła się szczerzej,
Nigdy jeden drugiego na krok nie odbieży.
Niewinne serca obu łączy miłość święta,
Wiecznie gwarzą jak w bajce niebieskie ptaszęta.
— Strzeż się, patrz, rów przed tobą! zamoczyłeś nogi!
— Umyślnie wszedłem w wodę, przebacz dziadziu drogi.
— Nie stąpaj po kamykach, biegaj tam po łące.
Niebo tak jasne było; słoneczko błyszczące
Patrzy na nich, wspólnemi ogarnia pieszczoty
Bieluchny włos dziadunia i włos dziecka złoty!

A ojciec gdzieś opodal z żoną mieszka nową.
Próżno drży biedne serce pod darną grobową
Gdy żywa po umarłej praw się dopomina.
Już w kołysce maleńka pokwila dziecina,
Pawełek nie wie o tem, dni mu płyną słodko,
Przy dziadku nikt go nawet nie nazwał sierotką.
Aż w końcu na śmiertelnej legł starzec pościeli.

Gdy Booz rzekł do Ruty, Jakób do Racheli:
Zapłaczcie bo umieram! niewiasty płakały.
Ale z dzieckiem rzecz inna! czyż zna chłopiec mały
Co to śmierć? Starzec ciężką złamany chorobą
Rzekł do wnuka: Pawełku, mnie krótko być z tobą!
Ja umrę, ty zostaniesz biedny sam na świecie!
Zadumaną źrenicą patrzało nań dziecię.
A potem znowu radość pobłyska mu z oczu,
Znów śmieje się wesoło. *(d. n.)*

GŁOS KOBIET.

W szeregu ciekawych i pouczających odczytów, jakie czas przedwielkanocny dał nam możność usłyszeć, największe bez wątpienia zajęcie wzbudził w kobietach zwłaszcza, odczyt D-ra Benni p. t. „Kobieta lekarz.” Kwestya, czy kobieta może być lekarzem, tak gorąco interesuje dziś ogół i tak jest doniosłą że żadne w niej słowo nie może być jeszcze zbytecznem. W tem też przekonaniu, choć nie z mej winy, spóźniwszy się nieco, odważam się podjąć niewprawne pióro, by jako strona interesowana wypowiedzieć kilka uwag, jakie wspomniony odczyt nastręczył, — a co ważniejsza stanąć w obronie praw, których zaprzecza nam kobietom więcej naukowy i doświadczony, lecz stronny aż do niesprawiedliwości obrońca strony przeciwnej.

Lecz zacznijmy od początku.

Odczyt pana Benni różne uczynił wrażenie na słuchaczach, a zależało to od różnego zapatrywania się ich na kwestyą pracy i wykształcenia kobiety. Wrażenie jakie sprawił wspomniony odczyt na słuchaczy-mężczyzn, wypowiedzianem już zostało w szpaltach kilku pism naszych.

My kobiety milczałyśmy, uważając, że w naszej kwestyi więcej czynu niż słów potrzeba. Faktów, które w poparciu sprawy naszej przytacza p. Benni jeszcze zamało. My więc, postarawszy się w życiu o większą ich liczbę, pokażemy, jakie wrażenie na nas uczyniły słowa prelegenta.

Tymczasem pismo „Bluszcz,” przeznaczone wyłącznie dla kobiet, w szpaltach N. 10 r. b. umieszcza artykuł D-ra Fritsche, rozwiązujący w bardzo niekorzystny dla kobiet sposób kwestyą, o której traktował p. Benni. Rzeczywiście p. Benni ostatecznie jej nie rozwiązuje zostawiając to raczej słuchaczom. P. Fritsche w sprawozdaniu swojem w Bluszczu, cytuje kilka faktów przez prelegenta przytoczonych i wyprowadza z nich wnioski, chcąc zapewne pomódz czytelniczkom „Bluszczu” w rozwiązaniu kwesyi tak ich interesującej, chcąc pokierować ich zdaniem i wskazać drogę ich prawdziwego powołania. My, należące także do czytelniczek Bluszczu, gdybyśmy nie były na odczycie p. Benni z wdzięcznością przyjęłybyśmy może zdanie p. Fritsche, a mając sobie wskazane prawdziwe powołanie nasze, starałybyśmy się o mężów, a przedewszystkiem, wytępiłybyśmy w nas samych i we wszystkich naszych siostrach te niepotrzebne i niemożebne chęci zostania lekarkami. Lecz na nasze nieszczęście lub szczęście byłyśmy na odczycie p. Benni i widzimy, że zgodzić się z p. Fritsche nie możemy, rozumiejąc inaczej zupełnie fakta przedstawione nam przez prelegenta. Że jednak nie wszystkie czytelniczki Bluszczu były na odczycie, a ze słów p. Fritsche zmartwią się biedaczki swoją nieudolnością i brakiem wytrwałości nawet w pracy, którąby mogła ich kobiece, poświęcające się serduszka zadowolnić, — postanowiłyśmy więc pocieszyć je podając do druku te słów kilka jako wniosek uczyniony przez kobiety z odczytu p. Benni. Otóż my wywnioskowałyśmy, że kobieta posiada tak zdolność jak i wytrwałość potrzebną dla teoretycznego i praktycznego zajęcia się medycyną i że działalność jej na tem polu jest niezbędną dla dobra ogółu kobiet, gdyż ochroni zdrowie wielu z nich i polepszy ich byt materyalny, otwierając nową zupełnie gałęź pracy kobiecej. Inaczej zrozumieć słowa p. Benni mogli albo ci, dla których kwestyą jest jeszcze, czy kobieta jest człowiekiem, czy można jej nadawać takie prawa, jak człowiekowi-mężczyźnie, naprzykład pozwolić leczyć ludzi: albo ci, dla których tak wielkie znaczenie mają słowa „*nie uchodzi*,” „*nie wypada*” że ich przekroczyć niepodobna nawet dla dobra ogółu kobiet.

Czyż to uchodzi, mówią ci ostatni, tej nadziemskiej, uroczej istocie zajmować się krajaniem i analizowaniem trupa. A kiedy tej uroczej istocie prawdziwy kobiecy wstyd albo nieumiejętność bab wiejskich lub akuszerek, przecina nieraz życie w samym kwiecie wieku, *uchodzi-ż* to i niezasługuje-ż na naganę? Nareszcie zaliczyć tu wypada i tych którzy, jak owi przeciwnicy zniesienia niewoli w początkach nowych wieków, nie lubią zmian, uważając, że jeżeli już co było dawniej i dotychczas istnieje to powinno pozostać i nadal. Nasze prababki, babki, nawet matki nie studyowały medycyny, a jakoś żyło się na bożym świecie! Żyło się przecież na świecie i bez dróg żelaznych i bez parowych statków i bez tysiąca innych maszyn i przedmiotów, bez których teraz obejść byśmy się nie mogli. Człowiek kształci się, potrzeby jego zwiększają się, a konieczność zaspokojenia onych wywołuje wciąż nowe i nowe zmiany w działalności ludzkiej. Toż i w podjętej przez nas kwestyi widzimy ze słów p. Benni, że zapowiada on właśnie wielką zmianę w przyszłem życiu kobiet. Czyżby do słuchaczy niechcących przyznać tej prawdy należał i p. Fritsche? Cokolwiek bądź wyprowadza on takie wnioski ze słów p. Benni, że zgodzić się z nim żadną miarą nie możemy tem bardziej, że niektóre z tych wniosków sprzeciwiają się samej istocie faktów. Przytaczając, naprzykład, słowa p. Benni że z Zürychskiego uniwersytetu kilka kobiet-lekarek zajmuje się praktyką w Anglii, w Zürychu i w Petersburgu, powiada; „doktorki miały w danej chwili pewien zasób wiadomości teoretycznych, ale bynajmniej nie przekonywa nas to, że są zdolnemi do wykonania praktyki lekarskiej.” Cóż to ma znaczyć? Wszak faktem jest, że kobiety-lekarki zajmują się praktyką, czyż więc to dowodzi że nie są do tego zdolnemi? Że kobiety-lekarki rzeczywiście praktykują przekonywa nas o tem pani Koszewarowa w Petersburgu, która nie jednej już kobiecie ocaliła życie. Następujące zaś słowa pomieszczone w „Kronice działalności kobiet!” w Bluszczu N. 41 za rok 1876 najlepiej o tem świadczą: „Siły lekarskie Nowego szpitala kobiecego w Londynie, przedstawione przez panie Anderson i Hoggen pomnożone zostały w osobie Mrs. Atkins. Mrs. Atkins, doktoryzowana w r. 1872 w Zürychu, dostała się zaraz potem na miejsce doktora asystenta przy szpitalu kobiecym w Birmingham. W szpitalu w Marylebone chciano podobnie pomnożyć drużynę lekarską przez doktorkę asystującą, któraby w szpitalu stale zamieszkiwała, ale niemożna było znaleźć na tę posadę odpowiednio ukształconej osoby, każda bowiem z pań która w Paryżu lub Zürychu studya skończyła i stopień doktora pozyskała, znajduje sobie zaraz korzystną i samodzielną praktykę. Postanowiono zatem zwrócić się do studentek londyńskiej lekarskiej szkoły dla kobiet i oddać to miejsce jednej ze zdolniejszych a na ostatnim kursie studyującej. Wybór padł na pannę Dahms, niemkę, która z obustronnem zadowolnieniem, tak chorych jak i doktorek ordynujących, urząd swój przez sześć miesięcy sprawowała. Miejsce jej zajęła i dotychczas zajmuje miss Borison, studentka, która już ukończyła w zupełności Londyńską lekarską szkołę dla kobiet.“ W N. 52, 1876 r. tož samo pismo podaje następujące wiadomości: „Z dniem 1 go Października b. r. dwie doktorki medycyny w Zürychu ukształcone poczęły praktykować w Berlinie. Obie poświęcają się wyłącznie leczeniu chorób kobiecych i dziecinnych; jedna Dr. Amalia Lehmas, mieszka i przyjmuje przy ul. Krausnickstrasse N-18 druga Dr. Franciszka Tiburtius przy ul. Friederickstrasse N. 203. W tym samym domu mieszka praktykujący równie lekarz Dr. Tiburtius wraz z żoną rozgłośnie znaną w Berlinie dentystką Dr. Henryką Hirschfeld Tiburtius.

Więc nie praktykują kobiety lekarki? Dziwi nas nawet, że Bluszcz — pismo dla kobiet, — protegujące ciągle ich działalność, przytaczające fakta o rozwoju jej, podaje teraz sprawozdanie D-ra Fritsche, który odmawia zupełnie kobietom zdolności do studyowania medycyny w ogóle, a nawet jej gałęzi, która najwięcej przystoi kobietom. Że akuszerya powinna być cała w ręku kobiet — rozumne i prawdziwe skromne kobiety same to przyznają, — że dziecinne choroby mogą być także leczone tylko przez kobietę — przyznaje to i sam p. Benni, mówiąc że żaden z mężczyzn nie będzie miał tyle cierpliwości niezbędnej przy leczeniu dzieci, ile jej posiada kobieta. Dr. Fritsche w swojem sprawozdaniu ani o tem wspomina, a natomiast szczególną zwraca uwagę na to, że na polu literatury medycznej kobiety wcale nie odznaczyły, i nie pozostawia nawet nadziei żeby się kiedyś odznaczyć mogły. Nie zatrważa to nas jednak i nie zniechęca do zajęcia się medycyną. Objaśniamy fakt ten w następujący sposób.

W Ameryce kierunek nauki jest przeważnie praktyczny; każdy stara się czegoś nauczyć, coby można było w życie praktycznie wprowadzić i korzyść dla siebie i ogółu wyciągnąć. Szkoły lekarskie we względzie naukowym teoretycznym nie są doskonałe jak dla mężczyzn tak i dla kobiet. Lecz

mężczyzna i po ukończeniu ich znajduje czas na dalsze studya nad medycyną a więc może się tem samem odznaczyć i na polu literatury medycznej. Tymczasem kobieta, zajmując się praktyką, ma prócz tego obowiązki dla rodziny, domu, — jednem słowem ma dwa wcale jednak niesprzeczne z sobą zadania do spełnienia. Gdyby zresztą i nie miała innych prócz praktyki zajęć, to i tak dziwić się nie można, że w samych początkach nie znalazła się jeszcze żadna genialniejsza lekarka, któraby odznaczyła się na polu odkryć i badań naukowych.

Zresztą, co do naszej Europy to w niej zbyt mało jeszcze kobiet studyuje medycynę i zostaje doktorami, a te którym to się i udaje muszą walczyć z otaczającemi je przesądami, tradycyami i zwyczajami, muszą pomagać siostrom swym, które chcąc się kształcić podobnież, muszą zwalczać tysiące przeszkód, stawianych im przez instytucye lub egoistyczne i zastarzałe pojęcia mężczyzn. Walka więc, którą kobieta musi prowadzić, zdobywając sobie wiedzę i praktykę lekarską, nie pozwala jej zjednoczyć swych zdolności na polu teoryi i odznaczyć się w literaturze medycznej. Dalej! — intellektualny rozwój kobiet w ogóle nie stoi u nas jeszcze na równi z rozwojem mężczyzn, a zależy to bardzo od początkowego wychowania i kształcenia kobiet i poglądu na nie samego dotykającego je towarzystwa. Jeżeli kobiecie od lat najmłodszych powtarzają nieustannie, że jest stworzeniem słabszem od mężczyzny nie tylko fizycznie ale i moralnie i że braku tego usunąć niepodobna, że nawet chęć pokrzepienia tej słabości za pomocą nauki — jest naganną emancypacyą; jeżeli widzi ona, że w rzeczy samej kobiety, chcące rozwijać się umysłowo i pracujące nad nauką, wpadają w ekscentryczność, robiąc z siebie częstokroć dziwne karykatury jakie społeczność potępia i wyłącza z grona swojego, woli więc nic nie robić, nie kształcić się, a sama potępiać będzie kształcące się swe siostry. Lecz owe „emancypantki" są to nieszczęsne ofiary tego lekkiego właśnie wychowania kobiet — ofiary, które, czy to z książek czy to z częstego obcowania z młodzieżą męzką, przejęły jej poglądy na stanowisko każdego człowieka w społeczeństwie, na kobietę której przyznano także nazwę człowieka, a więc włożono na nią obowiązki względem tegoż społeczeństwa: powzięły one postanowienie wyrobienia sobie stanowiska pewniejszego niż je dotychczas kobiety zajmują, a nie mając prawdziwie gruntownego intelektualnego wykształcenia ani doświadczenia, nie umiejąc działać samoistnie, rzuciły się z prawdziwie kobiecym zapałem do nauki i pracy, lecz skończyły tylko na formie i zrobiły z siebie dziwolągi, wyróżniające się z całego rodu kobiet. A ta męzka młodzież, któraby właśnie rękę pomocy podać i jako wyżej wykształcona umiejętnie pokierować nami mogła, albo usuwa się mówiąc: „uczcie się, pracujcie same, — my wam nie przeszkadzamy i nie zabraniamy"; albo dopomaga w wyrównaniu mężczyźnie w jego zmysłowem życiu i prowadzi do upadku, korzystając z moralnej i fizycznej nieusuniętej jeszcze słabości. Z czasem, w miarę coraz to większego rozwoju umysłowego kobiet, ta śmieszna strona emancypacyi zniknąć musi, a jeżeli „emancypantki" obecnie jeszcze na śmiech się wystawiają, jest to jedynie winą ich omyłki. Czyż nie lepiej wywieźć je z błędu i nadać inny kierunek ich dążnościom? P. Fritsche jednak w swem sprawozdaniu nie ma wcale tego zamiaru! Mówi w niem, że powołaniem kobiety jest zostać matką. Zgoda. Czyż my kobiety od tego się usuwamy? Bynajmniej. Wychodziłyśmy zamąż, wychodzimy i będziemy wychodzić. Nasza natura fizyczna i moralna tego wymaga. Lecz nie każdej z nas przeznaczonem jest dostać męża i nie każda mężatka zostaje matką. Cóż więc począć mają stare panny i bezdzietne mężatki lub wdowy? Wszak są to ludzie i o nich trzeba pomyśleć. Statystyczne dane dowodzą istnienia przeważnej liczby kobiet nad mężczyznami, z tej więc przyczyny nie jedna z nas już z tego jednego powodu cierpieć musi! Czyż nie należy nam ulżeć w tem moralnem cierpieniu? Kobieta ma wysoce rozwiniętą stronę uczuciową, tego dowodzić nie trzeba. Uczucia te jej wymagają pokarmu jaki daje jej domowe ognisko. Ona do niego dąży, gdyż tam może znaleźć zupełne zadowolenie i szczęście. Dobrowolnie od tego żadna uchylać się nie zechce. Ale jeżeli najróżnorodniejsze okoliczności, świat otaczający, charakter kobiety, a wreszcie jej fizyczne ułomności nie pozwoliły jej zostać matką i stworzyć domowego ogniska, samotna więc musi przejść drogę życia bez celu i obowiązków. Dlaczegoż społeczeństwo o takiej kobiecie nie pomyśli? Niechajże nada jej prawa, jakie nadaje nauka mężczyznom, środki do nabycia tej nauki, a wtedy pracując w jednej z gałęzi wiedzy i będąc w stanie przynieść temu społeczeństwu korzyść moralną lub materyalną i ta biedna ofiara znajdzie w niej rodzinę, cel i obowiązki. Bezcelowość w ogóle zabija człowieka moralnie i fizycznie, bezcelowość właśnie starych panien, a czasami i wdów robi je śmiesznemi, nieznośnemi, a często i szkodliwemi zawadami w społeczeństwie. Przecież muszą one czemś zająć swą myśl i swe uczucia!

Nie mając rodziny, o którejby myślały i którąby kochały, zwracają się do piesków, kotków i t. p. faworytów. Myśl ich tępieje, uczucie powszednieje lub zmienia się w samolubne, starające się różnemi sposobami wyrządzić zło społeczeństwu jak gdyby przyczyniło się do ich nieszczęścia. W istocie, czyż to społeczeństwo nie powinno myśleć o wszystkich swoich członkach? Dlaczegoż istocie osamotnionej, wyzutej z praw jakie nadaje jej natura robiąc ją matką, społeczeństwo nie da nowych praw któreby pozwoliły jej poświęcić się dla całej ludzkości? Znajomość medycyny jakże wiele pomódz tu może kobiecie! Wszak znaną jest rzeczą, że do wielu naprzykład obywatelek ziemskich lud prosty udaje się prosząc o pomoc lekarską. Na Ukrainie, jak to wiadomo mi dokładnie, w każdym prawie dworze jest apteczka. Nie zawsze te rady i leki umiejętnie i skutecznie są używane, lecz jakże często istotny przynoszą pożytek. Matka moja mieszkała dawniej na Ukrainie i w roku 1847 podczas cholery, jaka we wsi naszej silnie grasowała, ocaliła swą pomocą niejedno życie. W ogóle po wsiach i małych miasteczkach czuć się daje wielka potrzeba lekarzy, szczególniej akuszerek: czyżby kobiety-lekarki nie znalazły tam pracy, zadowolenia i za pracę swą odpowiednich korzyści? Dalej, są narody, których kobietom religia i zwyczaje nie pozwalają udawać się do lekarzy mężczyzn; bez wątpienia więc lekarki byłyby tam z wdzięcznością przyjmowane; naprzykład u Tatarów i niektórych plemion indyjskich. O tych ostatnich podaje wiadomość tenże sam „Bluszcz," objaśniając zarazem, że do Bombay jest już wezwanych kilka studentek-lekarek z Zürychskiego Uniwersytetu, które mają w tym roku skończyć swe studya.

A teraz zapyta może p. Fritsche: czyż nie mają kobiety innego pola pracy, np. zawód nauczycielski lub rzemiosło? Czyż tego dla nich nie dosyć?

W istocie wiele kobiet zajmuje się nauczaniem i rzemiosłami i byłoby to dla nich dostatecznem, gdyby wszystkie rodziły się z chęciami i zdolnościami do tych tylko zajęć. Dlaczego wszyscy mężczyźni nie są tylko doktorami, albo tylko prawnikami i t. p.? Jeden ma więcej chęci być prawnikiem i studyuje prawo. My tylko kobiety musimy być niewolniczemi w wyborze sobie zawodu; musimy duch nasz krępować i być tylko tem, czem nam łaskawie pozwalają być mężczyźni! Dlaczegóż wszystkie drogi nauki nie mają być dla nas otwarte? Nawet sam ów zawód nauczycielski nie jest dla nas tak gwarantowany jak dla mężczyzn: czyż u nas są wyższe szkoły dla kobiet, w którychby po skończeniu pensyi lub gimnazyum mogły kształcić się na nauczycielki? Nic więc dziwnego że we wszystkich prawie niższych szkołach żeńskich wykładają mężczyźni a biedne nauczycielki z głodu umierają. Nie mogą one przecież dorównać profesorom, którzy studyują specyalnie w uniwersytetach jakąbądź gałęź nauki i lepiej ją potem wykładać mogą i lepsze do takiego wykładania otrzymują prawo. A jakimże sposobem my kobiety wyżej kształcić się możemy by zostać nauczycielkami, skoro trzeba przyznać że skończywszy jeden z naszych zakładów naukowych żeńskich. bardzo mało przygotowane jesteśmy do spełnienia tak wielkiego zadania.

A teraz co do rzemiosł, to przedewszystkiem wymagają one koniecznie siły fizycznej, którą nie każdą kobietę obdarzyły nieba; przeważnie oddać się rzemiosłom mogą kobiety klasy roboczej, gdzie siły samem wychowaniem i życiem wyrabiają się. Najstosowniejszem zatem zajęciem zostaje się zawód nauczycielski lub praca igłą. To za mało! Tymczasem zaspokojenie materyalnego bytu zmusza nas coraz bardziej do szukania pracy; jeżeli więc będziemy mogły znaleźć ją tylko w igle lub w zawodzie nauczycielskim, zbyt wielka konkurencya zostawi większą połowę kobiet bez chleba. Potrzeba nam więc jeszcze jakiegoś za jęcia, które zapewniając byt, zadowolniłoby nas moralnie. Studyowanie medycyny jest bezwątpienia najstosowniejszem takiem zajęciem. A jednak jeżeli płeć silna, w ręku której leży ostateczne otwarcie nam tak tej jak i innej drogi, będzie podzielać zdanie p. Fritsche, długo jeszcze kobiety postępować będą błędną drogą i mimowoli zasługiwać na nazwę wyrodków społeczeństwa. Wprawdzie p. Fritsche mówi że mężczyźni nie stawiają nam żadnych przeszkód: a czyż jest to zachętą, że np. w Londynie nie tylko nie pozwolono kobietom słuchać wykładu nauk w uniwersytetach, ale nawet nie zgodzono się by profesorowie tychże uniwersytetów prywatnie wykładali medycynę kobietom, dając do wyboru wykładać w uniwersytecie lub w szkole prywatnej lekarskiej dla kobiet? Nie jestże to stawianiem przeszkody?

Jeszcze słów kilka! P. Fritsche kończy swoje sprawozdanie słowami: „Słabość to kobieta." Słabość? Mężczyzna, któremu i wychowanie i wykształcenie i zwyczaje pozwalają i pomagają rozwijać duch i ciało, zapewnić sobie byt moralny i materyalny i posuwać całą ludzkość na drodze cywilizacyi — jest często tak słabym, że nietylko sobie rady dać nie może — lecz cofając się przed wszelkiemi przeszkodami, drugich jeszcze prowadzi do moralnego i materyalnego upadku, i staje się tylko pasożytem w społeczeństwie. Kobieta zaś nie ma przeszkód jedynie tylko do spełnienia obowiązku zostania matką według ciała. Dalej zaś, kiedy właśnie powinnaby zostać i matką według ducha, spotyka ją wszędzie tysiące przeszkód, do zwalczenia których nie jest wcale przygotowaną. O ile w mężczyźnie starają się duch rozwijać, o tyle w kobiecie starają się niemal go przytłumić a nawet zniszczyć. I w wychowaniu jej i kształceniu nie dbają o rozwój umysłu, wyrobienie charakteru, rozsądny pogląd na rzeczy, zdrowe uczucia i gruntowne naukowe wiado-

mości. Przeciwnie wszystko w niej pobieżne, niestałe, egzaltowane i niepewne, samodzielności mało, własnych zdań niewiele. Przygniatają więc nas moralnie, a jednak duch nasz nie znika, wyrywa się na swobodę i zwalczając tamy stara się spotęgować, by stać się prawdziwą połową ducha rodzaju ludzkiego. I czyż nam się to po części nie udaje? Stan intelektualny kobiet coraz to wyżej się podnosi i odznaczają się już dziś kobiety i na polu literackiem i naukowem i artystycznem. Więc choć fizycznie słabe, my kobiety, moralnie możemy być silnemi i z czasem, będąc towarzyszkami mężczyzn w ich życiu ducha, staniemy się prawdziwą połową rodzaju ludzkiego. Rozumie się że p. Fritsche i tysiące innych mężczyzn nie dojrzą może tego postępu, gdyż patrzą na kwestyą kobiet przez pryzmat przeszłości.

Izabella.

DRAMAT NA MORZU.

Osnuty na tle angielskiej powieści Oliviera Madox-Brovn p. n. „Czarny Łabędź.“

przez J. B.

(Dokończenie).

VIII.

Dzień zabłysnął. Promienne słońce zajaśniało na pogodnym lazurze nieba; bałwany pokryte złoconą pianą, pod lekkiem tchnieniem wietrzyka nadęły się i zadrgały; szybkolotne mewy już to unosiły się po nad falami, już to maczały w nich końce swych szarych skrzydeł a następnie z radośnym krzykiem wzbijały się w powietrze. Niebo patrząc na ognie rumianej jutrzenki, zapomniało o zaledwie zagasłej łunie pożaru; a zmienne morze pokryło płaszczem swych fal zwłoki wczoraj pochłoniętych ofiar. I tylko lekko wiosłami popychany statek, czarny punkcik ginący na tej niezmierzonej przestrzeni, świadczył o świeżem nieszczęściu i nowe zapowiadał cierpienia.

Już głód czuć się im dawał, choć jeszcze sami przed sobą przyznać tego nie chcieli; ale każda upłyniona godzina głębsze rysowała zmarszczki na wybladłych twarzach. Już sam skwar południowego słońca zwiększał ich męczarnie. Danvers wziął szal Laury i z pomocą jednego z majtków, urządził z niego rodzaj namiotu rozciągając go na dwóch wiosłach. Pod tem zaimprowizowanem schronieniem doczekali się wieczora, po którym w tych podzwrotnikowych strefach, noc natychmiastowo prawie następuje.

Jedna tylko Debora nie przyłączyła się do tej gromadki skupionej na środku szalupy; na wezwanie aby się zbliżyła, odpowiedziała dzikim wzrokiem i głuchem milczeniem, jakiego od wczoraj ani jednem nie przerwała słówkiem. Pozostała odosobniona, nieruchoma i milcząca, a gorące promienie słońca padały prosto na jej głowę; jednak zdawało się że ją nie palą, że ich nie czuje równie jak palącego pragnienia dręczącego wszystkich.

Z nadejściem nocy położenie ich stało się okropniejszem jeszcze. W dzień, podtrzymywała ich odwagę nadzieja że może postrzeże ich jakiś nadpływający okręt, ale noc zapadła, nadzieja się nie ziściła, rozpacz ogarniać ich zaczęła.

Przez cały następny dzień spokojna odwaga Laury nie zachwiała się ani na chwilę. Pocieszała majtków, dodawała im ducha, i nawet, ale to już daremnie, pragnęła wyrwać Deborę z jej niepojętej otrętwiałości, a Danvers'owi pokazywało zawsze spokojne, uśmiechnięte prawie oblicze. Ani jednem słówkiem nie zdradziła miotającej nią obawy i cierpienia. A jednak ogromne paliło ją pragnienie: coraz częściej zaćmiewało jej się w oczach, tak że nareszcie musiała się położyć, a nad wieczorem tak osłabła że chwilowo straciła świadomość okropnego ich położenia.

Wśród nocy obudziły ją podniesione głosy i zacięta sprzeczka. Zerwała się w jednej chwili.

— Co to jest? zapytała szukając oczami Danvers'a; — gdzie jesteś, Gabryelu, czy nowe jakie zagraża ci niebezpieczeństwo?

— Nic to, nic, rzekł przysuwając się do niej, tylko majtkowie oskarżają się wzajemnie że zapomnieli zabrać zapasu żywności, rozpaczają i złorzeczą.

— Pomóż mi wstać, Gabryelu, chcę przemówić do nich.

Zebrawszy siły, podniosła się, i wsparta na ramieniu Danvers'a zbliżyła się do majtków zgromadzonych z przodu szalupy i gotowych już rozpocząć bójkę. Nagłe jej pojawienie się, śmiertelna prawie bladość twarzy na którą padał jasny promień księżyca, tak silne na nich zrobiło wrażenie iż oniemiali wlepili w nią zadziwione oczy.

— Przyjaciele moi, rzekła poważnym i spokojnym głosem, czy tak mało macie ufności w Bogu, czy tak bardzo lękacie się śmierci? Czy nie wstyd wam, silnym i odważnym mężczyznom, aby kobieta uczyła was jak umierać należy? Patrzcie, ja nie drżę, jam spokojna, bo mam nadzieję w Bogu a On nie opuszcza tych co w Nim ufność swoją złożyli. Może chce tylko wypróbować naszą wiarę — może nas jeszcze ocali... a jeśli mamy umierać, nie szemrajmy a w niebie otrzymamy nagrodę. Módlmy się bracia! i niezapomnijmy że Bóg nas widzi i słyszy.

Mówiąc to ożywiła się stopniowo; w jej ku niebu podniesionych oczach zajaśniało natchnienie, wydawała się jak anioł zesłany z nieba aby natchnąć odwagą tych zrozpaczonych majtków. Idąc za przykładem Laury, wszyscy padli na kolana i wspólna modlitwa ukrzepiła ich zbolałe serca.

IX.

I znów upłynęło dwadzieścia cztery godzin. Po raz już trzeci noc roztaczała swe cienie po nad szalupą, na której z jej zapadnięciem grobowe zalegało milczenie. Niekiedy wysuwając się na chwilę z po za obłoków, przelotny promień księżyca oświetlał tu bezwładne postacie, tam znowu biedaków wijących się w konwulsyach głodu, lub nareszcie kilku majtków trzymających się jeszcze na nogach, walczących z cierpieniem i spodziewających się jeszcze ocalenia, z wzrokiem utkwionym w ciemne przestrzenie, kryjące może okręt mający stać się dla nich arką wybawienia.

Już od trzech dni wszyscy ci morscy tułacze nic nie jedli i nic nie pili, a prócz męczarni głodu i pragnienia, większa ich część cierpiała jeszcze od ran odniesionych podczas pożaru. Co do Danvers'a, nie głód, pragnienie, i rany dość nawet ciężkie pochyliły silne jego ramiona, zgięły kolana i męzkiej jego twarzy nadały barwę i martwość marmuru, — nie, jego pognębiła i podkopała ta myśl że siła jego na nic się nie przyda, że musi, bez walki i oporu, wydać na łup śmierci życie, za które tysiąc razy oddałby swoje; dobijało go poczucie takiej niemocy obok tak bezgranicznej miłości.

Siły fizyczne Laury nie odpowiadały moralnym, wycieńczona, leżała prawie martwa, a o kilka kroków stał Gabryel, z okiem wlepionem w jej wybladłą twarz, która przy świetle księżyca prawie martwą się wydawała; milczał lub wymawiał cicho słowa bez związku, a z oczów jego pierwszy raz w życiu łzy spływały. Cierpiał bezmiernie. W tem nagle zlodowaciała ręka położyła się na jego ramieniu i głuchy, ostry głos zabrzmiał w oczach; odwrócił głowę i zadrżał z przerażenia.

Debora stała przed nim; twarz jej była sina i strasznie zmieniona, oczy wyszły na wierzch i dzikim pałały ogniem; postąpiła parę kroków i rzekła wskazując na leżącą bezwładnie Laurę:

— Ha! przecież, umrze nareszcie... tak długo na to czekałam... i ja także umrę... ale umrę pomszczona!... Ten ogień... ten piekielny ogień... ja go rozniecilam... Tak, ja podpaliłam okręt, ja!... Ha drżysz.... cofasz się... Jestem potępiona!... wiem o tem... zgubiłam duszę moją... ale ona umrze... tak umrze... twoja Laura umrze!... ha! ha! ha!...

Wstrząsła się konwulsyjnie, zachwiała i padła na ziemię. Danvers nie obejrzał się nawet; padł na kolana obok Laury, głowę jej wsparł na swojem ramieniu i czoło jej i ręce okrywał pocałunkami. Co go teraz obchodzić mogła Debora, jej wściekła nienawiść i wyznanie piekielnej zbrodni?... Co go obchodziło wszystko na świecie, skoro Laura umrzeć miała!... Ach! byle jej długo nie przeżył! byle bezlitośne fale nie rozdzieliły zwłok ich rzuconych w morze... Ach! straszno jest umierać tak w kwiecie młodości! umierać tak kochając i tak będąc ukochanym... gdy młodość, miłość, szczęście, gdy świat cały zdaje się do nas uśmiechać... Tak bezładnie rozpaczliwe myśli przesuwały się w umyśle Gabryela gdy wpatrywał się w stygnącą twarz Laury. W cóż obróciła się jej piękność, śnieżna przejrzystość jej cery, różowa barwa lica i ust jej korale?... Niestety! uroczy ten kwiat zwiędnął tak prędko, ale nie zmieniło to uczuć Gabryela, teraz kochał ją może więcej jeszcze, kochał ją czystą, anielską miłością, nie potrzebującą ziemskich powabów i złudzeń. Dusza Laury miała ulecieć do lepszego świata, jego dusza wkrótce pójdzie jej śladem i miłość ich rozpłynie się w wieczności.

Wtem nagle, z piersi majtka stojącego z przodu szalupy rozległ się w przestrzeni krzyk radości tak wielkiej, tak bezbrzeżnej iż prawie nie miał w sobie nic ludzkiego. Jakże to głęboko tkwi w nas żądza życia, jak bezmierną jest potęga nadziei!.

Radośny ten krzyk zgalwanizował wszystkich tych biedaków znękanych, znużonych, zgłodniałych, na wpół umarłych; zerwali się w jednej chwili i wśród nocnych cieni dojrzeli zapalone latarnie bryku... Upłynęło teraz kilka chwil trwożliwej niepewności. Przystaje.. Nie, płynie dalej!.. Przystaje... oddala się... ach! nie, przystanął...

I wszyscy zaczęli krzyczeć i rozpaczliwie wzywać ratunku...

Noc się kończyła i już różowe smugi przerzynały obłoki. Wkrótce już niepodobna było wątpić, okręt wyraźnie kierował się ku szalupie, którą nastający przedświt dostrzedz mu pozwolił. Niezadługo łódź odłączyła się od okrętu, dopłynęła do szalupy i bryk angielski *Albatros* przyjął na pokład nieszczęśliwe ofiary pożaru.

X.

Laurę przeniesiono do kajuty kapitana i doktór okrętowy otoczył ją swojem staraniem; Danvers stał o parę kroków z załamanemi rękami, — wtem jeden z oficerów otworzył drzwi i kiwnął na niego.

— Kto jest ta kobieta którą razem z wami przeniesiono na nasz okręt? zapytał gdy Danvers przystąpił do niego.

— Kuzynka moja, miss Mallinson.

— Przeniesiono tu już tylko martwe jej zwłoki; odrzekł marynarz, oddamy jej zaraz ostatnią posługę. Czy chcesz pan widzieć ją jeszcze?

— O nie! odpowiedział Danvers.

Tak rozmawiając weszli na pomost gdzie już leżały owinięte w gruby całun martwe zwłoki Debory. Odmówiono ostatnią modlitwę, poczem dwóch majtków, pobujawszy trochę tym grobowym ciężarem, przez parapet rzucili go w morskie otchłanie.

— Niech ci Bóg przebaczy, nikczemna zbrodniarko, wyszeptał Gabryel cofając się ze wstrętem i przeżegnawszy się wrócił do kajuty.

Upływały dnie, tygodnie a Laura nie wracała do zdrowia, i w dziwne popadła obłąkanie. O tyle przecież odzyskała siły że już kilka razy wynoszono ją na pomost, gdzie długie spędzała godziny wsparta na poduszkach lub podtrzymywana przez Gabryela, ale w umyśle jej ciągły panował zamęt, w myślach bezład i brak związku. Już to przywoływała Gabryela i pokazywała mu jakiegoś morskiego ptaka, czyhającego po nad okrętem albo chmurkę przesuwającą się po niebie, i przypatrywała się temu z dziecinną radością; to znów za chwilę wzrok stawał się nieruchomy, głos urywany, błagała Gabryela aby ją zostawił jej losowi a sam wpław dostał się do lądu, lub zalewając się łzami żegnała się z nim na wieki.

Popychany przyjaznym wiatrem, *Albatros* dopływał do brzegów Anglii. Pewnego dnia, jeszcze przed świtem, cała osada zbudzona została krzykiem: Ziemia! ziemia! wydanym przez majtka czuwającego na strażnicy. Nastąpiła rozrzewniająca scena. Oficerowie i majtkowie wybiegli na pomost oświetlony błyszczącemi promieniami wschodzącego słońca; różowe i purpurowe jego blaski padały na żagle; powierzchnia morza połyskiwała jakby złotem, a w oddali na horyzoncie odbijała od błękitu nieba falująca biaława linia... Na jej widok wszyscy odkryli głowy, wszystkie oczy zrosiły się łzami!

Ta niewyraźna jeszcze biaława linia rysująca się daleko, bardzo daleko, była to Anglia, była to ojczyzna, ognisko domowe, rodzina, przyjaźń i miłość...

— Witaj nam, stara Anglio! zawołał nareszcie komendant poważnym i uroczystym głosem.

— Witaj nam, Anglio! powtórzyło sto głosów!

Danvers stał na uboczu; głos jego nie zabrzmiał w radośnych okrzykach osady; stał z rękami skrzyżowanemi na piersiach, z zasępionem czołem i tylko wzrok jego zwrócił się w kierunku spojrzeń osady, bo wiedział że tam na horyzoncie ukazuje się stara, prawdziwa ojczyzna. Ale ten wyraz „ojczyzna" tak luby i miły ponieważ budzi w nas długi szereg wspomnień i pamiątek, nie znajdował oddźwięku w duszy Gabryela: dla niego wszystko było tam obce a teraz nie mógł myśleć o niczem prócz Laury. Z nią każdy kraj byłby mu rajem, bez niej, ojczyzna nawet, głuchą tylko puszczą. W tem głos łagodny i słodki wymówił jego imię; odwrócił głowę i ujrzał idącą ku sobie Laurę w długim powiewnym negliżu, z włosami splątanemi bezładnie, — twarz jej była spokojna, spojrzenie pogodne, a uśmiech igrał na ustach.

— Gabryelu, rzekła, wspierając się na jego ramieniu, byłam bardzo i długo chora?

— Tak, chorowałaś ciężko i długo, ukochana moja, — odpowiedział jak się odpowiada dzieciom, nie śmiejąc jeszcze przypuszczać że Laura mówi przytomnie.

— Było to coś jakby letarg na jawie, wszak prawda? mówiła znowu, bo poznaję ten okręt... tych majtków, widywałam ich bardzo często... Już od dwóch godzin się ocknęłam, myślę i przypominam sobie... Powiedz mi, Gabryelu. wszak okręt ten dał nam przytułek w chwili gdy już prawie umieraliśmy z głodu, w owej szalupie... po tym strasznym pożarze?...

Potwierdzająco kiwnął głową.

— Jakto dawno było?

— Blizko dwa miesiące temu?

— Dwa miesiące... I gdzież okręt ten nas unosi, dokąd płyniemy?... Ach! jakżebym już pragnęła dostać się na ląd! zobaczyć ziemię, drzewa, kwiaty, domy!... Gabryelu, ja już jestem zdrowa i przytomna... Wszak postrzegłeś to? Znowu jak dawniej jestem twoją Laurą...

— Moją, moją na zawsze! droga, ukochana Lauro! i w upojeniu radości przycisnął do silnie bijącego serca. Patrz, Lauro, rzekł po chwili, patrz to Anglia ukazuje nam się z oddali, tam ojczyzna nasza, tam czeka nas spokój i szczęście!

EPILOG.

Słońce zachodziło po nad zatoką *** w hrabstwie Devonshire; na wzgórzu wyniesionem po nad morze siedzieli obok siebie młody mężczyzna i młoda kobieta i wpatrywali się w dzienną gwiazdę jak stopniowo zapadała w wód zwierciedle. O kilka kroków od nich bawiła się muszlami śliczna czteroletnia dziewczynka; każdy jej okrzyk i śmiech głośniejszy zwracał ku niej wesołe lub rozrzewnione spojrzenie młodej matki i pobłażliwy uśmiech ojca.

Niebo stawało się coraz czerwieńsze; zdawało się jakby objęte wielkim pożarem którego płomienie odbijały się w przejrzystych falach.

Młoda kobieta zadrżała nagle i przyciskając się do męża, szepnęła.

— Czy nie przypomina ci to owej strasznej nocy?

Dziewczynka dosłyszała słowa matki i spostrzegła jej poruszenie; przybiegła do ojca i zapytała wdzierając się na jego kolana:

— Ojczulku, powiedz mi, czemu mama boi się zawsze ilekroć zobaczy czerwone niebo?

— Opowiem ci to kiedyś, Loreczko, jak już urośniesz i będziesz mogła mnie zrozumieć — odrzekł Danvers, pieszcząc się z jasnowłosą córeczką.

Korespondencya z Berlina.

Nędza w Niemczech. — Emigracya do Ameryki. — Liczba poległych w wojnie 1870—1871 r. — Moguncya, zakłady zapasów wojennych. — Okręta całego świata. — Katastrofa w Steinbrück. — Jubileusz Krystyana-Daniela Rauch. — Śmierć Mosenthal'a. — *Tell i Gessler* Rochhaltz. — *Idealizm i realizm* Ludwika Weitz. — Szkice filozoficzno historyczne p. Mehring. — *Zarysy Wyższego Egiptu, Pustyni i Morza Czerwonego* Klunzinger. — Nowe wydanie dzieł Adolfa-Frederyka von Schack. — Wystawa artystyczna w Monachium. — „Mercadet" Balzac'a, przerobione na „Księcia spekulacyi." — Wagner i król bawarski.

(Ciąg dalszy).

W miesiącu lutym wydarzyła się w Steinbrück okropna katastrofa, która ogromne w całej okolicy wywołała przerażenie. Wioska ta leżąca nad brzegami Sawy, w nadzwyczaj wklęsłej dolinie, znikła zupełnie z widowni w skutku oberwania się skał. Cała góra spadła odrazu. W chwili zawalenia, tylko co przeszedł pociąg pośpieszny z Wiednia do Triestu. zawsze licznych obejmujący podróżnych. Strażnik którego domek leży w pobliżu wioski, wybiegł usłyszawszy straszny odgłos zawalenia się góry. Była to czwarta godzina rano, wśród nocnej ciemności nie mógł rozpoznać doniosłości strasznego wypadku — jednak pierwszą jego myślą było że pociąg mający nadejść rozbije się o skały zalegające drogę. Słupy sygnałowe były zgruchotane, telegraf istnieć przestał, tak więc nie miał środka przesłania jakiegoś ostrzeżenia. Most na Sawie zapadł się w wodę i znikł pod odłamami skał, a jak powiedziałem noc była tak ciemna, że niepodobna było, bez narażenia się na śmierć prawie niechybną, probować przedrzeć się wśród odłamów nagromadzonych skał. Jednak stary strażnik ani się zawahał. W jedną stronę posłał syna aby zawiadomił najbliższego z jego służbowych kolegów, a sam zwrócił się w przeciwną, wdrapywał się na skały, zatrzymując się gdzie mógł, i krzycząc dawał sygnały latarnią, aż znużony, dobywając ostatka sił, dowlókł się do stacyi. Pozostawił w najokropniejszej obawie i niepewności rodzinę której jedyną był podporą, aby spełnić swój obowiązek i ocalić życie tysiąca osób, a dopełnił tego z taką naiwnością i prostotą, iż ani na myśl nie przyszło że spełnił czyn bohaterski, a to tak dalece iż zadziwił się nie pomału, gdy się dowiedział że dyrektor wyznaczył mu gratyfikacyą.

Jedna stronica przybywa znowu do dziejów nieznanych bohaterów.

Od pewnego czasu, Berlin rozmiłował się bardzo w jubileuszach i rocznicach: to też po nader uroczystym obchodzie siedmdziesięcio-letniej rocznicy służby cesarza Wilhelma w wojsku pruskiem, obchodzono nader świetnie dwudziestoletnią rocznicę śmierci słynnego snycerza Krystyana Daniela Rauch. Uroczystość odbyła się w galeryach Muzeum narodowego, cały dwór a nawet cesarz i cesarzowa zaszczycili ją swoją obecnością.

Deklamacya. poezya, mowy i muzyka, składały się na ten jubileusz artystyczny, którego znaczenie patryotyczne dobrze pojmowali obecni.

Rauch może być uważany za założyciela i twórcę szkoły romantycznej i narodowej niemieckiej i w tem najgłówniejsza jego leży zasługa: Cesarz rozmawiał długo z artystami a szczególniej z obecnymi na uroczystości uczniami mistrza. W tymże dniu odbyła się także uroczystość na cześć Rauch'a w berlińskiem stowarzyszeniu artystów. Profesor Lüileritz skreślił w krótkich słowach dzieje życia pruskiego snycerza, i odczytał sztuczkę humorystyczną napisaną z okazyi wzniesienia konnego posągu Fryderyka Wielkiego, w której artysta, z powodu swej twórczości, przyrównany jest do Jowisza Olimpijskiego. Tylko że poeta przyznaje Rauch'owi palmę pierwszeństwa nad jego mitogicznym współzawodnikiem, a to z tytułu że Jowisz wywiódł tylko z swej głowy „pieszą Minerwę" a pruski artysta „monarchę na koniu.

Rauch pozostawił córkę która była obecną na uroczystości odbytej w galeryi narodowej, gdzie wszystkie znakomitości artystyczne z wielkiem ją przyjmowały odznaczeniem.

W Austryi zszedł z tego świata jeden z jej najpierwszych pisarzy, — poeta Mosenthal. Wprawdzie urodził on się w Hesyi elektoralnej, ale od roku 1841 zamieszkał w Austryi. Początkowo zwrócił na siebie uwagę publiczności ogłoszeniem zbioru poezyi i nowelli, i dopiero w 1846 przerzucił się na pole dramatyczne, W tymże roku odegrano w teatrze jego sztukę *Holender Michał*; przez następne lat parę napisał kilka sztuk granych z większem i mniejszem powodzeniem, ale dopiero *Debora* przedstawiona w 1856 postawiła go odrazu w rzędzie najznakomitszych dramaturgów niemieckich. Sztuka ta przedstawiana była z kolei na najpierwszorzędniejszych scenach Niemiec i po dziś dzień pozostała w ich repertoarze. Oto główne jego dramata: *Cecylia d'Albano*, *Życie niemieckiego poety*, *Komedyanci*, *Gabryela de Percy*, *Nauczyciel wiejski*, *Pietro*, *Magdalena Morel*, *Syrena*, *Bianka Capello*,

Paryzina — ale żadna z tych sztuk nie miała tak wielkiego powodzenia jak *Debora*, choć wszystkie dowodzą niezaprzeczonego talentu autora, znajomości warunków scenicznych, jędrności i prawdy w tworzeniu charakterów. Ze stanowiska krytyki literackiej *Komedyanci niemieccy* i *Życie niemieckiego poety* kwalifikują się do dzieł pierwszorzędnych.

Urodził się w roku 1821, śmierć wydarła go zbyt wcześnie rodzinie, przyjaciołom i bardzo sympatyzującej z nim publiczności.

Do najcelniejszych dzieł z wydanych w ostatnich czasach, należy szkic historyczny p. Rochhaltz, p. n. *Tell i Gessler*. Autor sięga do źródeł i bada je sumiennie, nie troszcząc się o zadraśnięcie narodowej miłości własnej ludu szwajcarskiego, — czego Szwajcarowie darować mu nie mogą. Zebrawszy i zbadawszy drobiazgowo legendy innych ludów, autor dowodzi że legenda o Wilhelmie Tell'u nie jest niczem innem jak naturalnym mitem mającym symbolizować zwycięztwo wiosny nad zimą, tryumf słońca roztapiającego śniegi gór. Mówi że ujarzmieni Szwajcarowie szukali w tych objawieniach poetycznych żywiołu podsuwającego działalność w swoich zamierzonych walkach o wybicie się na niepodległość. Jakoż nie można zaprzeczyć, że we wszystkich epokach w jakich kiedykolwiek uwydatniał się ruch w celu wyzwolenia się tak pod względem religijnym jak politycznym, zawsze pojawiał się gdzieś jakiś dramat którego przedmiotem był Wilhelm Tell, Ruoff, Samuel Henzi, którego Lessing, w młodych latach swoich, chciał obrać za bohatera dramatu. Ignacy Zimmermann, Schiller, także układali dramata w celu protestowania przeciw wszelkiemu despotyzmowi, tak moralnemu jak materyalnemu. Trudno wyrokować czy p. Rochhaltz ma słuszność, ale zawsze szkice jego przeczytać warto.

Z dzieł filozoficznych zasługuje na wzmiankę *Idealizm i materyalizm* p. Ludwika Weitz. Jest to znakomity chemik i jeden z pierwszorzędnych popularyzatorów nauki. Wiele już napisał i wydał dzieł filozoficznych, a filozoficzna jego teorya zasadza się na twierdzeniu, że świat cały jest układem sił podstawiających się ustawicznie jedne za drugie i sprowadzających tym sposobem dwie kategorye fenomenów, z których jedne są duchowe, drugie materyalne. Ale nader trudno jest wykazać, w jaki sposób odbywa się ta zamiana sił, i jak oddziaływają one jedne na drugie, bez względu na odległość. Słońce przyciąga ziemię, choć na miliony mil odległą jest od niego, a siła jego przyciągająca daje się uczuć tak samo jak siła jaką wywiera jeden atom na drugi, w minerałach lub metalach. Aby wytłomaczyć te fenomena, p. Weitz musi uciekać się do uprzedniego, odwiecznego istnienia w przyrodzie pewnych sił, ale jest to wycofywanie się a nie wytłomaczenie. Podobne powodzenia pozbawione są wszelkiej poważnej podstawy, i niedaleko doprowadzą.

(*d. c. n.*)

Odczyty publiczne.

pp. Józefa Grajnerta i Bolesława Prusa (Głowackiego).

Pan Józef Grajnert wystąpił z odczytem „O znaczeniu prac i pomysłów Wojciecha Jastrzębowskiego." Słowa ewangeliczne: *z owoców ich poznacie je*, przyjął prelegent za punkt wyjścia. I rzeczywiście, aby stosownie ocenić wielkie zasługi Wojciecha Jastrzębowskiego, potrzeba dobrze rozpoznać owoce długoletnich prac jego. P. Grajnert w pierszej połowie swego odczytu przedstawił treściwą biografię zasłużonego profesora, krótki rys jego prac pedagogicznych i botanicznych, w drugiej zaś zastanawiał się nad znaczeniem i doniosłością dzieł jego.

Od dzieciństwa namiętnie zamiłowany w przyrodzie, gdyż mając nie więcej nad lat cztery, już jedyną jego zabawą było hodowanie kwiatów i ptasząt, Jastrzębowski całe swe życie nauce tej poświęcił. Zaszczytnie ukończywszy Warszawski uniwersytet na fakultecie fizyczno-matematycznym i otrzymawszy stopień magistra nauk przyrodzonych, objął natychmiast posadę profesora zoologii i botaniki w świetnej podówczas szkole agronomicznej Marymontu i wykładami swojemi wiele się przyczynił do wykształcenia młodych, zamiłowanych w pracy rolników. Teoretyczny wykład z katedry łączył on zawsze z praktyką w polu albo w ogrodzie, w czasach wakacyjnych urządzał dalekie wycieczki naukowe w różne okolice kraju, z których wiele korzystali uczniowie. Umiał on bowiem wielkie zamiłowanie do nauki przyrody w nich rozbudzić. „Kochaj ziemię twoją, kochaj twory które cię otaczają, pielęgnuj je starannie, pracuj usilnie w tym zawodzie, a otoczy cię piękno i pożytek, i znajdziesz na tej drodze możebne na ziemi szczęście." Taką myśl usiłował wpajać w młode serca, ona też przewodniczyła całemu życiu, wszystkim długoletnim pracom jego.

Po dwudziestu kilku latach profesorskiego zawodu, otrzymał już jako emeryt, wyższą posadę w lasach rządowych gub. Łomżyńskiej. Tu na wielką skalę zajął się rozmnażaniem drzew i obsiewaniem niemi przestrzeni jałowych i pustych; na setki milionów liczą drzewa pożyteczne i cenne przez niego rozmnożone. W ogrodzie zaś który tamże na piaskach i sapach założył, i z którego cudne uczynił miejsce, hodował rzadkie krzewy i najwyborniejsze gatunki owoców, a szkółek pozaprowadzał wielkie mnóstwo w różnych stronach kraju, umiejąc nawet i w prostych robotników przelać zamiłowanie swoje do uprawy drzew i krzewów. Obecnie choć wiekiem pochylon, bo więcej jak ośmdziesięcioletni starzec, na Czystem pod Warszawą pracuje w urządzonym przez siebie ogrodzie na wynajętej ziemi, na której urządził rozległą szkółkę bardzo cennych drzew owocowych.

W ciągu długiego zawodu pisał też wiele i wydał kilka dzieł z których najważniejszemi są: *Kosmos, Kompas Polski i Historya Naturalna do potrzeb życia zastosowana.* To ostatnie dzieło bardzo głęboko i pracowicie pomyślane, jest raczej usiłowaniem stworzenia nowego systematu Filozofii Natury. Prelegent zapewniał iż wiele dzieł jeszcze zacny starzec w rękopismach posiada.

Ostatni a trzynasty z rzędu odczyt na korzyść War. Tow. Dobroczynności, dostał się p. Aleksandrowi Głowackiemu piszącemu pod pseudonimem Bolesława Prusa. Słuchacze licznie się zebrali, bo talent prelegenta korzystnie w Warszawie jest znany i byli pewni że usłyszą jakąś wesołą, satyryczną, pełną atyckiej roli humoreskę, albowiem afisz ogłaszał iż p. Głowacki czytać będzie swoją nowelę pod tytułem: „W walce z życiem," a tymczasem inaczej się stało. P. Głowacki czytał powiastkę treści poważnej, dramatycznej, kończącej się nie jedną nawet śmiercią, powiastkę nibyto z życia wziętą, której osnowa jest następną:

Bohaterem powieści jest stary, zatwardziały w zasadach swych arystokrata, zrujnowany i w zrujnowanem zameczysku przesiadujący: on to właśnie *walczy z życiem* w celu podźwignięcia majątku i dawnej świetności swych przodków. Początkowo walka z życiem p. Adama, owego bohatera powieści, ogranicza się na wzięciu za żonę *chorowitej* panny, a wraz z nią milionowego posagu. Dalej walka owa polega na straceniu tego posagu i *chorowitej* żony, oraz zaręczeniu *chorowitego* syna z córką dorobkowicza plebejuszowskiego rodu, wbrew swoim arystokratycznym zasadom.

Ale syn ten zawodzi nadzieje ojca: ukończywszy zagranicą szkołę politechniczną, tak jest zdenerwowany i rozstrojony pracą, że dostaje obłędu i rzuca się pod koła lokomotywy, która wraz z nim zabija oparte na jego ożenieniu nadzieje ojca w podźwignieniu majątku.

Niezwykły to i nieprawdziwy przykład pracy a w każdym razie wcale niezachęcający dla synów rodzin świetnem zdobnych imieniem.

Zostaje wszakże córka na której teraz jedynie spoczywają losy ojcowskich celów, córka wychowana starannie ale *chorowita*, z organiczną wadą serca. Tę p. Adam usiłuje wydać za bogacza, potomka wielkiej rodziny ale niedołęgę i idyotę. Tymczasem panna *chorowita* kocha się w młodym lekarzu, który zostawszy profesorem Uniwersytetu, prosi o jej rękę; ojciec ze wzgardą mu odmawia a *chorowita* córka życiem to przepłaca, i na tem się kończy *walka z życiem* p. Adama. Autor z tego sens moralny dla użytku cierpliwych słuchaczy wyprowadza, że nie należy walczyć z życiem, ale stosować się do okoliczności. żyć czynem a nie marzeniem, przytem nie żenić się z kobietami chorowitemi.

W ogóle utwór ten przesiąkły jest grubym realizmem, który źle odbija przy niektórych prawdziwie poetycznych ustępach; co zaś do postaci niby z życia wziętych, to takiego pana Adama niepodobieństwem byłoby wynaleźć. Cały zresztą układ tej powiastki jest słaby; pierwsza jej część zanadto rozwlekła, akcya zaś drugiej zanadto przyśpieszona, wcale nie artystyczny kontrast stanowi, całość zaś na słuchaczach przykre uczyniła wrażenie.

Zakład leczniczy głodowy w Lindewiese.

Wobec zbliżającego się sezonu kuracyjnego i wędrówek dorocznych do wszelkich zakładów leczniczych i wód, może nie będzie obojętną dla czytelników wiadomość o zakładzie, którego nazwę wypisaliśmy w zagłówku, mało u nas znanym, równie jak i używana tam metoda leczenia.

Co się tyczy samej miejscowości, Lindewiese jest to mała wioseczka w Szląsku austryackiem, położona o ¼ mili od sławnego zakładu hydropatycznego w Grefenbergu, a niecałe ½ mili od sąsiedniego miasteczka Freiwaldau. Okolica umiarkowanie górzysta (na rozgałęzieniu łańcucha Sudetów), umiarkowanie nad poziom morski (z 1½ tysiąca stóp) wyniesiona, posiada klimat dość zdrowy i przyjemny; zbyteczną romantycznością widoków nie celuje, chociaż poblizkie Grefenberg i Freiwaldau niejednemu podobać się mogą. Jedzie się z Warszawy do Sosnowic na granicę pruską, ztamtąd do Katowic, dalej koleją wrocławską do Brzegu (Brieg); tu wysiada się i boczną odnogą dojeżdża się również koleją aż do miasteczka Ziegenhals, leżącego na granicy pruskiego i austryackiego Szlązka; z Ziegenhals pocztą albo najętym powozem dojeżdża się we 2 godziny do Freiwaldau albo do Lindewiese. Cała droga z Warszawy wynosi 20 godzin jazdy, a koszt jej — od 8 do 12 rubli od osoby.

Metoda leczenia i zakład w Lindewiese powstały następującym sposobem.

Lat temu trzydzieści kilka zwyczajny wieśniak miejscowy, nazwiskiem Jan Szrot (Johann Schroth),

pewnego razu rąbiąc drzewo w lesie, rozciął sobie siekierą kolano. Leczył się potem długo, ale bez skutku; rozcięte kości sprawiały mu ból dokuczliwy i rana, zamiast zagoić się, coraz to bardziej się powiększała. Porzuciwszy więc doktorów i aptekę, Szrot usłuchał rady jakiegoś mnicha i zaczął przykładać do nogi w ciepłej wodzie umaczane płachty. Ten prosty środek, wszelako przy zachowaniu ścisłej dyety, pomógł mu bardzo prędko, tak że wkrótce Szrot mógł chodzić swobodnie, a po 9 tygodniach przyszedł zupełnie do zdrowia. Nie będąc pozbawionym zdrowego rozsądku i daru spostrzegawczego, Szrot wpadł na wniosek, że jeśli na obrażenie kości dyeta i ciepłe okłady okazały się tak pomocnemi, to niewątpliwie te same środki będą jeszcze skuteczniej działały na cierpiące miękkie części ciała. Urządził więc, z początku na szczupłą skalę, zakład w Lindewiese i zaczął leczyć z tak wielkiem powodzeniem, że wkrótce zyskał znakomity rozgłos i nawet osoby znakomite (bogactwem i, jak mówią, urodzeniem) przybywały do niego na kuracyą: tak jeden z książąt wirtembergskich, któremu na wojnie włoskiej 1849 r. kula armatnia zgruchotała nogę, dopiero w Lindewiese zupełnie przyszedł do zdrowia. Szrot leczył początkowo tylko rany zewnętrzne, korzystając z własnego do świadczenia, ale coraz to większa praktyka naprowadziła go na dalszy rozwój teoryi i obszerniejsze jej zastosowanie. Główne zasady tej teoryi są następujące.

Wszelkie rany i choroby leczy sama natura podwyższoną i natężoną swoją działalnością żywotną; objawem tego natężenia jest tak zwana *gorączka*, która wtedy tylko może być nazwana chorobą i grozi życiu, gdy temperaturę ciała podnosi do 41° Cels. i wyżej; poniżej zaś tej temperatury to jest pomiędzy 37° (normalną temperaturą ciała) i 41° Cels. gorączka nie jest chorobą, lecz zbawiennym leczniczym aktem natury. Przy leczeniu chorób idzie więc tylko o to, ażeby temu wysiłkowi natury dopomagać, a mianowicie podtrzymywać umiarkowaną gorączkę, aż do zupełnego wyzdrowienia, a gdzie jej nie ma, wywołać ją sztucznie i utrzymywać dopóty, dopóki nie nastąpi kryzys i nie sprowadzi uleczenia. Ta tylko metoda leczenia jest, podług Szrota, jedynie skuteczną; wszelkie zaś lekarstwa są bezwarunkowo szkodliwe. Metoda Szrota, nazwana przez jego zwolenników *naturalną*, stosuje się do *wszystkich* bez wyjątku chorób i uszkodzeń ciała, tak zewnętrznych jak i wewnętrznych, oprócz tylko zupełnie rozwiniętych suchot, choroby cukrowej i raka: wszystkie inne, nawet najokropniejsze i zaraźliwe, dają się usunąć i szrotyści chlubią się najpomyślniejszemi wypadkami zupełnego uleczenia. Całą różnicę pomiędzy chorobami, wpływającą na postępowanie lecznicze, stanowi tylko istnienie lub brak gorączki; w chorobach ostrych czyli zapalnych, połączonych z gorączką, chodzi o utrzymywanie umiarkowanej gorączki i zapobieżenie jej zgubnemu wzrostowi; w chorobach chronicznych należy tę gorączkę wywołać. Dla dopięcia tych celów metoda Szrota posiada trzy środki: pierwszym są wilgotne ciepłe okłady, drugim—dyeta, trzecim — używanie stosownego napoju. O trzech tych środkach powiemy teraz z osobna.

Wilgotne ciepło jest, podług Szrota, najzbawienniejszym środkiem leczniczym natury: nawet drzewo i kamień rosną w cieple wilgotnem, a więc tem bardziej ciało i kości ludzkie, opiewa jeden z aforyzmów Szrota, który lubił wyrażać swoje poglądy w przysłowiowych wierszykach („in feuchter Wärme wächst Holz und Stein und Fleisch und Bein.") W cierpieniach zapalnych, gdy potrzeba umiarkować gorączkę i sprowadzić ją do zbawiennego stopnia, okłady zmieniają się często, czasem co pięć minut; w chronicznych, przeciwnie, gdy chodzi o wywołanie gorączki i transpiracyi, okłady zmieniają się rzadko, co kilka godzin, a czasem na całą noc pozostają bez odmiany. Rozmaite są gatunki tych okładów—miejscowe i całkowite: te ostatnie zależą na całkowitem spowiciu chorego w mokre prześcieradło, a na wierzch mokrego w suche prześcieradło i wełnianą kołdrę; są także długie płócienne kamizelki i pasy do tegoż użytku służące. Do okładów używają zwykle wody ale czasem używa się i wino (dla osób bardzo osłabionych), albo ocet winny (dla osób cierpiących krwotoki). Bezpośrednim skutkiem całkowitych okładów nocnych jest silna transpiracya: powiadają że pot leje się z chorego tak, że przesiąka przez materac i strumieniem sączy się na podłogę: jest to więc niby pranie organizmu. Ponieważ chory, całkiem spowity, ma skrępowane ręce i nogi, przeto dzwonek nad łóżkiem jest tak urządzony, że w razie potrzeby, można go dosięgnąć zębami. Nie jest to więc bardzo przyjemny proceder, ale ci, którzy go próbowali, mówią że i do tego można się przyzwyczaić, a nawet spać stosunkowo dobrze, kąpiąc się literalnie w pocie. Ale to jest jeszcze niczem w porównaniu z dwoma pozostałymi środkami — dyetą i napojem.

Dyeta w chorobach gorączkowych zależy na używaniu małej ilości pokarmów roślinnych; dla wzbudzenia zaś gorączki Szrot daje tylko pokarmy suche w tak szczupłej ilości, ażeby tylko pacyent z głodu nie umarł. Ponieważ bowiem gorączka połączona jest zwykle z uczuciem suchości, rozumował założyciel zakładu w Lindewiese, przeto dla sprowadzenia gorączki należy używać pokarmów suchych; za najlepszy zaś pod tym względem pokarm uważają się suche, nieświeże już bułki zwyczajne, wypiekane w tym celu umyślnie, zwane szrotowskiemi bułkami. Ztąd kuracyą Szrota nazywają także głodową (Hungercur) i bułkową (Semmelcur).

Nakoniec, co się tyczy napoju, w stanie silnej gorączki daje się limoniada, woda, owsianka, ale dla obudzenia gorączki używa się wina, które razem z suchemi bułkami i okładami stanowi najpotężniejszy środek w metodzie kuracyjnej Szrota. Kuracya ma różne stopnie i postępuje od łagodniejszej do ścisłej; zresztą bywa zastosowaną do rodzaju choroby i indywidualnej kompleksyi chorego. Zwykle w pierwszych dniach pacyentowi dają tylko na noc okłady na obie nogi, a co do dyety, musi wstrzymać się zupełnie od piwa, kawy, zupy i wody (szczególniej zimnej) lecz jada jeszcze mięso, a za napój pije białe lub czerwone wino (najtańszego gatunku) samo lub z wodą, ale tyle tylko, ile czuje pragnienia. Po kilku dniach zjawia się już sucha bułka: na śniadanie i na wieczerzę dają wyłącznie ten tylko specyał, a i w ciągu dnia jest on zawsze na usługi pacyentów à discretion. Na obiad dozwala się jeszcze kawałek suchej pieczeni i kompot, a także jarzynki, w wodzie ugotowane, ale przy tem trzeba pić wino, to gorące (o ile zniesie można), to zimne. Okłady powiększają się i wskutek tych początków kuracyi po tygodniu już pokazują się objawy upragnionej przez Szrota sztucznej gorączki. W dalszym rozwoju kuracyi probuje się już *suchych dni*, to jest zajada się tylko suchą bułkę i nieco jarzyn, powstrzymując się zupełnie od wszelkiego napoju, a więc i od wina. Szrot pociesza, że przecie mokre okłady, dostarczając ciału niezbędnej wilgoci, bronią pacyenta od śmierci z pragnienia, a co się tyczy głodu, dowodzi że w gorączce żołądek mało trawi, więc choćby i więcej jeść, mało ztąd byłoby pożytku. Z początku jeden dzień tylko należy obywać się bez napoju, a następnego wolno pić wino; potem próbuje się suchych dni coraz częściej, aż gdy wreszcie pokazuje się że chory może znosić tę dyetę, zaczyna się ścisła kuracya szrotowska — korona i szczyt metody, ciężka próba bohaterstwa pacyentów. Zależy ona na tem, ażeby 2 i 3 dni z rzędu obywać się bez wszelkiego napoju, a jeść tylko suchą bułkę; po takich 2 i 3 suchych dniach, następuje dzień picia (Trinktag). Trudno to z początku spieczonemi usty i suchem podniebieniem spożywać suche bułki, ale zwolennicy Szrota powiadają, że już sam głód tego nauczy i w końcu nawet nabiera się apetytu do swego jednostajnego pożywienia. Męczarnie pragnienia z początku muszą być okropne, ale Szrot i jego uczniowie pocieszają pacyentów, że jest to walka nieunikniona i recytują im filozoficzne uwagi o zwycięztwie i panowaniu nad samym sobą. Jednocześnie ze ścisłą kuracyą okłady częściowe zmieniają się w całkowite: pacyent pierze się w nocy, a w ciągu suchych dni suszy się gwałtownie. Osoby, nie mające zębów, tak potrzebnych do spożywania szrotowskiego panaceum, mogą zamiast bułek używać gęstej kaszy jęczmiennej lub ryżowej, czasem nawet z podatkiem trochy wina, masła i soli, choć ta ostatnia w ogóle źle jest przez Szrota widzianą. Flotow (w broszurze die Naturheillehre, z której czerpiemy wiele szczegółów) powiada, że można z łatwością po pewnym przeciągu czasu przyzwyczaić się nawet do suchych dni i odbywać ich nawet po 4 i 5 z rzędu, chociaż takiego natężenia kuracya zwykle nie wymaga: wystarczają 3 suche dni, a potem dzień picia. Wprawdzie tenże Flotow przyznaje, że niekiedy pragnienie w ciągu suchych dni staje się nie do wytrzymania, ale pociesza że ten stan męczarni, połączony z rozpaczą i upadkiem ducha, jest to właśnie ów „akt leczniczy" przyrody (Heilakt), a w ostateczności dozwala wypić mały kieliszek wina, ale koniecznie gorącego. Cały więc zapas pragnienia z dni suchych odkłada się na dzień do picia, kiedy już można i zaspokoić remanent i napić się także w zapas na następujące dni suche, rozumie się tylko wina. Zresztą nawet i w tym dniu picie rozpoczyna się tylko po obiedzie (złożonym zawsze tylko z suchych bułek lub kaszy gęstej) i może trwać aż do wieczora, w umiarkowanej ilości, mniej więcej około butelki. Pije się wino wprost z piwnicy, a nawet i z lodem, najlepsze jest wino zwyczajne białe, kwaskowate. Jest to jedyny napój, mówią szrotyści, który gasi pragnienie, a jednak nie wywiera sztucznej gorączki; dla tego niemożna zastąpić wina żadnym innym napojem; próbowano używać do kuracyi piwa, ale bez skutku. Używanie innych zimnych napojów w kuracyjnym „dniu do picia" ma nawet grozić życiu niebezpieczeństwem. Od czasu do czasu następują śród ścisłej kuracyi pauzy kilkudniowe, w ciągu których jada się nawet nieco mięsa i komputu, ale niewolno pić wody.

Taką jest kuracya szrotowska w Lindewiese. Jak długo ma trwać? Odpowiadają, że aż do zupełnego wyzdrowienia albo znacznego polepszenia — od kilku tygodni do kilku miesięcy. W skutek owego prania, suszenia i ogrzewania organizmu mają wychodzić z ciała wszystkie szkodliwe i zepsute materye: prześcieradła, używane do powijaków, przybierają rozmaite barwy — zieloną, żółtą, czerwoną i t. p. Kuracya to niewątpliwie bohaterska—w dosłownem znaczeniu czyśćowa. Chorzy w Lindewiese oczywiście nie mogą bawić się teatrem, odczytami ani tańcami na zebraniach, urządzanych przez samych lekarzy, jak to bywa gdzieindziej; nie mogą nawet odbywać wycieczek i spacerów, bo choć używanie świeżego powietrza nie jest wzbronionem, ale ruch pobudza apetyt, a więc i męczarnie przy kuracyi głodowej, a zresztą chorzy niebardzo mają i siły do przechadzki. Czy przynajmniej ta kuracya jest

skuteczną? Szrotyści zapewniają że zawsze i że wypadki śmierci w Lindewiese są niezmiernie rzadkie; innego są, oczywiście, zdania lekarze i aptekarze, którym Szrot i jego szkoła wypowiedzieli wojnę. Niemożna jednak zaprzeczyć, że metoda Szrota zyskała wielu zwolenników: istnieje nawet osobna szkoła „lekarzy szrotowskich" a choć w samym zakładzie przebywa teraz niewięcej jak 150 do 200 pacyentów rocznie, nietrudno jednak spotkać uleczonych. Piszącemu zdarzyło się spotkać z 70-letnim staruszkiem, który aż z Czerniowiec (40 godzin jazdy koleją) przybył do Lindewiese: miał on jakieś cierpienie skórne, które go zmuszało do ciągłego darcia ciała aż do krwi, tak że bieliznę miał ciągle we krwi zbroczoną; po kuracyi pozbył się zupełnie tego cierpienia. Zresztą Szrot i jego zwolennicy bynajmniej nie posyłają chorych koniecznie do Lindewiese: owszem autorowie dość licznych książek, składających „szrotowską literaturę" (Gerke, Kypke, Flotow i t. p.) wyraźnie powiadają, że każdy może sobie w domu urządzić podobną kuracyą z małym kosztem. Obszerne wskazówki znajdują się w dziele Gerkego (Die Naturheillehre des Johann Schroth), które wyszło już w 7 wydaniu i Kypke (Die diätetische Heilmethode, a także po francuzku Le Traitement diétetique), które miało *35 wydań*.

Z całej treści niniejszego artykułu widać, że piszący, nawet gdyby chciał napisać reklamę dla Lindewiese, sam musiałby zwątpić o jej skutku. Dla braku miejsca nie będę się tu wdawał w humorystyczne i filozoficzne uwagi, do których metoda szrotowska dostarcza pole. Jeden znajomy mi szlachcic, wysłuchawszy relacyi o leczeniu szrotowskiem, domyślał się że ów zakład musiał założyć ten sam niemiec, co to kiedyś konia chciał oduczyć od jedzenia, a teraz leczy ludzi głodem i pragnieniem. Niejeden zapewne jest zdania, że życie nie jest tyle warte, ażeby narażać się dla jego zachowania na czyścowe męczarnie głodu i pragnienia; ale komu dobrze na miłym świecie i śród kochanych ludzi i kto ma dość odwagi, niech gwoli „szlachetnemu zdrowiu" jedzie do Lindewiese. Ci zwłaszcza, którzy podlegają przykrym następstwom nadużyć gastronomicznych i innych, zrezygnowawszy się na bohaterskie oczyszczenie metodą Szrota, będą mogli, po powrocie, zacząć grzeszyć na nowo. *Sz.*

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, W WARSZAWIE.

Do dzisiejszego sprawozdania, przyłączamy jako wstęp doniesienie francuzkiego dziennika *l'Evenement*, o pracach i uznaniu naszych artystów w Paryżu. Otóż: Chełmoński, którego Ukraińskie widoki świetne miały powodzenie, przygotowuje nowe dwa krajobrazy; Kowalewski, daje szkic włoski, i portret francuzkiego felietonisty Armanda Gouzien. Władysław Bakałowicz wykończa wielki obraz przedstawiający epizod z rzezi św. Bartłomieja; Artur Gąsowski, Brochocki, mają wystąpić z krajobrazami; Stanisław Chlebowski, niedawno z Konstantynopola przybyły, z widokami Wschodu; Jan Rozen, najmłodszy z nich wszystkich kończy obraz historyczny, również hr. Cetner i Szyndler, uczeń Cabanella. Słowem polscy malarze zajmą na wystawie w Paryżu wybitne stanowisko, jakie sobie w krótkim czasie zdobyli talentem i pracą.

Nasza wystawa zachęty sztuk pięknych podaje nam też kilka nowości.

Przeprawa p. Brodowskiego. Kozacy powracają z wyprawy, a snać powiodła się dobrze, bo wiozą łupy, tureckie makaty, i różnobarwne sztandary. Starszyzna gwarzy, rozpowiada sobie wzajem tyle ciekawych z ostatniej wycieczki szczegółów, młody teorbanista przygrywa i dumkę nuci, tęskniąc za czarnobrewą. Niektórzy, ufni w siły swych rumaków, i nie lękając się srebrzystej topieli, wpław przeprawiają się. Charakterystyka Kozackiej Siczy, ugrupowanie, akcesorye i perspektywa nie przedstawiają nic do życzenia. Obraz to pełen życia, barw i ruchu, przepyszną stanowiłby ilustracyą do owych nieporównanych powieści z Ukrainy Czajkowskiego.

Ranne Zorze p. Pruszkowskiego, przedstawiają nam kilku pastuszków, co z brzaskiem dnia zbudzili się, noc spędziwszy na polu przy pilnowaniu stadniny. Krajobrazy we mgle poranku i postacie chłopaków, pochwycone z wielką prawdą. Szczególniej jeden żwawy parobczak, przywódzca zdaje się całej gromadki, narysowany z wielką naturalnością postawy i wyrazu.

Ojciec Hilary p. Jasińskiego Ignacego. Treść tego obrazu, zaczerpnięta z poematu Włodzimierza Wolskiego, jest dla ogółu trochę niezroznmiałą. Widzimy tu człowieka obłąkanego rozpaczą, na mogile, wśród burzliwej nocy, a szatan szepcze mu zbrodnicze pokusy. Przedmiot wedle nas niezupełnie wdzięczny, lubo obfity w fantastyczne efekta, które artysta starał się wyzyskać

Husarze p. Brandta Józefa. Dwaj towarzysze „pancernego znaku" w pełni uzbrojenia, na koniach. Skrzydła wznoszą się na ramionach, a widz przygląda się z podziwem na zawsze zagubionemu strojowi rycerzy. Przystrój ten, owe lotne rwące się do góry archanielskie skrzydła, może był i piękny, ale cóż to za barki być musiały aby dźwignąć żelazne podtrzymywane ozdoby!

Deszcz i *Mgła* p. Gersona, upostaciowane są alegorycznie, w kształtach niewieścich. *Deszcz*, prześliczne zjawisko na posępnem tle chmur, potrząsa muzycznym bębenkiem, z którego lecą srebrzyste krople. *Mgła*, przejrzyste zasłony rozsiewa nad ziemią w przelocie. Układ obu alegoryi, bardzo wdzięczny, a całość przypomina niezmiernie słynne tancerki Pompejańskie. Zarzucilibyśmy tylko „Mgle" zanadto... pulchną budowę. Co ma być powiewnem powinno być wiotkiem jak motylek świeżo z poczwarki wykluty.

Studyum w słońcu p. Łaszczyńskiego, okazuje nam ogorzałą córę Włoszki w jej narodowym stroju, oświetloną pełnią blasków południa. Jestto brawura kolorytu, i przyznać trzeba że się powiodła. Osobliwie w chwili, gdy prawdziwe słońce przyjdzie w pomoc sztucznemu, to z obrazka zda się że biją żywe promienie i tchnie gorąco italskiej atmosfery.

Krajobraz z okolic Rzymu p. Szolca, przedstawia nam wpływ tegoż słońca, już nie wtedy gdy filuternie zagląda w oczy i obejmuje kibicie piękności, lecz gdy żarem spaliło ostatnie źdźbło trawy na pastwisku, gdy uczyniło krajobraz *campagna* niemal martwym. Pod murami chroni się pastuszek strzegący stadko kóz co daremnie na spalonej ziemi szukają pożywienia. A błękit niebios jednostajny, bez chmurki coby dała nadzieję ożywczego deszczu i cieniu, zdaje się szydzić z udręczeń śmiertelników.

Lato i Jesień p. Perl Edmunda, scharakteryzowały się w dwóch obrazkach, co najmniej... trywialnie. W lecie, bydło pędzą z pola — w jesieni, stado gęsi — i... nic więcej. To doprawdy trochę za mało...

Nowe wydawnictwa.

Masław powieść z XI wieku J. I. Kraszewskiego, wyszła z druku nakładem Spółki wydawniczej księgarzy warszawskich w dwóch tomach. Cena rs. 2. Jest to już czwarta powieść historyczna znakomitego naszego pisarza wydana na widok publiczny, dwie następne już są pod prasą. Każdy tom ze zbioru tego kosztuje rs. 1.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pan. R. K. na Wołyniu. Nadesłané podanie gminne pomieścimy w Tygodniku. Opisy Pińszczyzny chętnie przyjmiemy do Przyjaciela.

Stałej prenumeratorce. Za list z taką życzliwością napisany, serdeczne składamy dzięki. Z rad udzielonych o ile można skorzystamy. Przyjaciel Dzieci oddzielny Dodatek ma wyłącznie poświęcony dla małych dzieci i w nim wszystko znajduje się odpowiednie ich wiekowi. Sam numer zaś z dodatkiem powieściowym, przeznaczony jest dla starszych dzieci. Powieści większe układane z angielskich pisarzy, chętnie są bardzo czytane nietylko przez starszą ale w znacznej części i przez młodszą dziatwę. Wytrawność sądu Szanownej korespondentki stanie się nam bodźcem w dalszej pracy. Jeszcze raz zatem dziękujemy za słowo zachęty i szczerej życzliwości.

Panu E. P. w Proskurowie. Chętnie podejmiemy się pośrednictwa w trzymaniu losu na loteryi ale uprzedzamy, że osobom którym podobnie służyliśmy, tak dalece szczęście nie sprzyjało, że losy w żadnej klasie nawet najmniejszej nie wygrały kwoty. Jeżeli to nie zrazi, to uważamy za najwłaściwsze, aby należytość całkowita za wszystkie klasy odrazu nadesłaną została i to z przynależnemi procentami dla kolektora. Cząstkowe bowiem przysyłanie opłaty naraża na wielki kłopot i koszt niepotrzebny. Bilety zostaną w Redakcyi a kupno losów na Pańskie nazwisko i doniesienie jakie numera wybrane zostały, zupełną przedstawiają pewność na wszelkie nieprzewidziane wypadki.

Pani Alojzie T. w Mażunajciach. Od przesyłki książek pozostało w depozycie redakcyi kop. 17½. Powieść Bakałarze niebyła dotąd broszurowana.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 27 Апрѣля (9 Мая) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.



N. 1. Gałązka nemofili XVI kwiat z piór.



N. 2. Środeczek do kwiatu ryc. 1.



N. 3. Listek do nemofili ryc. 1.

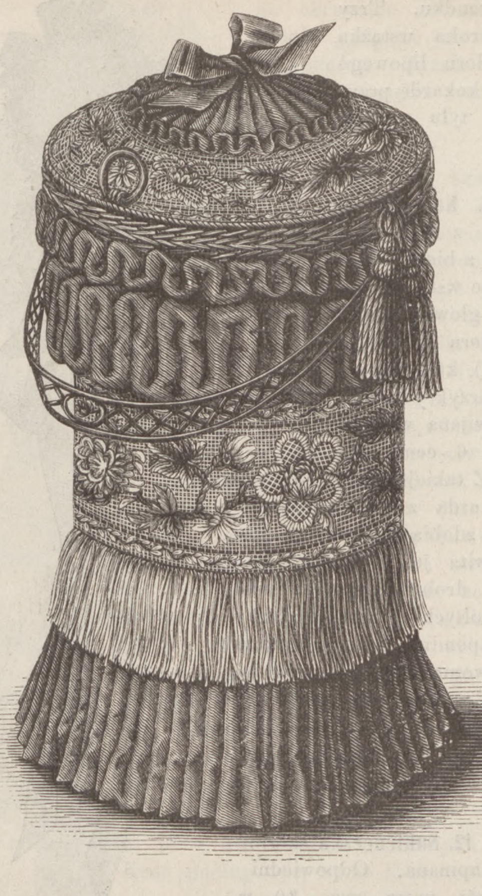
Opis do N. 19.

(dokończenie).

N. 8—11. Trzy kapelusze.

N. 8—9. Kapelusz bastowy wązkiem rondkiem. Brzeg ronda obejmuje czarna repsowa wstążka 6 cent. szeroka, zmarszczona w drobniutkie fałdki, z pod których u góry jako nagłówek wysuwa się złożona we dwoje różowa atłasowa wstążeczka. Zwierzchnie przybranie stanowią z jednej strony spadające pukle i końce z wstążki czarnej i różowej, z drugiego boku ułożony jest skos czarnej materyi, podszyty różowym atłasem, 85 cent. długi a 25 szeroki, u dołu ścięty skośnie, który z przodu główki podpięty w dwa pukle, z boku zplisowany w fałdy zachodzi aż do tyłu. Suty bukiet kwiatów białych i riusza illuzyowa w podpięciu, dopełniają przyozdobienia.

N. 10. Kapelusz jedwabny z wysoką główką. Z tiulu i drutu przygotowana foremka kapelusza odpowiedniego tylko dla młodych osób powleczona jest gładko repsem jedwabnym koloru lipowego, rondko zaś jest nadmarszczone i za-



N. 6. Kosz na negliżyki i drobiazgi.



N. 4. Aster XVII kwiatek z piór.



N. 5. Związanie włókien pióra na aster ryc. 4.



N. 7. Haft kolorowemi jedwabiami na materyale do pokrycie mebli.



N. 8. Kapelusz bastowy z wązkiem rondkiem. Przód do ryc. 9. Chusteczka z ranwersem, patrz ryc. 17 w N. 18.

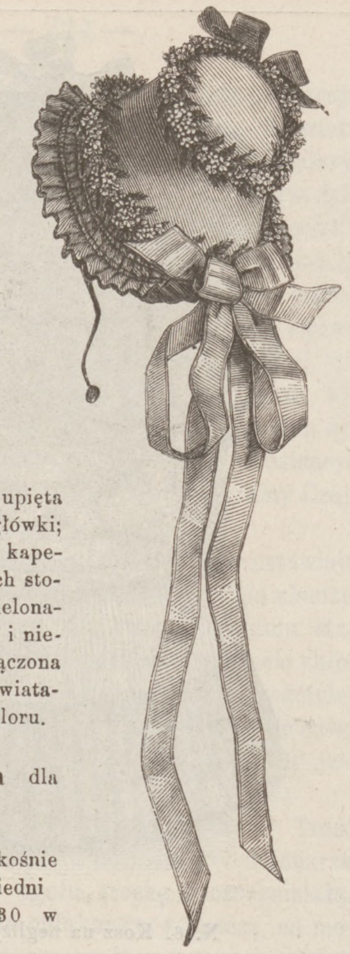
kończone falbanką 2 cent. szeroką, podszytą blado-niebieską materyą. Dwa wązkie wianeczki niezapominajek z ciemnemi listkami paproci otaczają główkę u góry i przy rondku. Trzy cent. szeroka wstążka serge koloru lipowego służy na kokardę przypiętą z tyłu u dołu główki.

N. 11. Kapelusz z główką z materyi. Rondko z białej słomki objęte wstążką, ma dodaną główkę z materyi koloru żółtawego (asperge), której przyszycie przykrywa lekko przewijana wstążka repsowa 6 cent. szeroka. Z takiej wstążki upięta suta kokarda z przodu główki; girlanda zdobiąca wierzch kapelusza uwita jest z białych stokrotek, drobniutkich zielonawych i żółtych kwiatków i niezapominajek a złączona dwoma większemi kwiatami szparagowego koloru.

N. 12—15. Ubrania dla dzieci.

N. 12. Sukieneczka skośnie zapinana. Odpowiedni krój patrz ryc. 30 w N-rze 18.

Uszyta z materyału wełnianego w paski, ma skośno zapinane przody krajane w ten sposób, iż każdy przód ma u dołu szerokość obydwóch części; zachodzący na wierzch ma wzdłuż brzegu obrobione dziurki a u dołu podpięty jest lekko kokardą. Guziki naśladujące zapięcie naszyte są do dołu.



N. 10. Kapelusz jedwabny z wysoką główką.



N. 12. Sukienka skośno zapięta dla dziewczynki.

N. 13. Sukieneczka princesse dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 14 i ryc. 39.

N. 15. Ubranie dla chłopczyka.

N. 14. Sukieneczka formą princesse. Patrz ryc. 13.



N. 11. Kapelusz z główką z materyi.

N. 13—14 i 39. Sukieneczka princesse. Krój princesse z dodanem u dołu pleców fałdowaniem lub bez tegoż, ciągle jest używany zarówno dla starszych jak i dla młodszych panienek. Na rycinie 13 sukieneczka w kratkę popielatą z białem, ożywiona jest ponsowemi wypustkami i takiemiż guziczkami, $2^1/_2$ cent. szeroka pliska otacza dół sukienki i wzdłuż przodu naśladuje skośne zapięcie; takaż pliska odznacza kwadratowy wykrój i patki na rękawach. Sukieneczka podana na ryc. 14 jest z granatowego welwetu; w miejsce pliski naszyty galon jedwabny; plisowanie z materyi. Kieszonka zawieszona na grubym jedwabnym sznurze. Rycina 39 wskazuje układ plis do ryc. 13.

N. 15 i 40. Ubranie chłopczyka. Krój podług ryc. 24 w N-rze 18.

Podług powyższego kroju można dopasować stanik; podszewka kraje się gładko podług Fig 34—35 a wierzch zakłada się w fałdy po przymierzeniu. Szarfa wymaga prostego kawałka materyału 155 cent. długiego a 19 szerokiego. Jak to widać na ryc. 15 plecy złożone są w trzy kontrafałdy, z przodu po obu stronach guzików dana jedna kontrafałda. Spódniczka składa się z prostego kawałka materyału poddanego muślinem, 194 cent. szerokiego a 27 długiego.



N. 9. Kapelusz bastowy z wązkiem rondkiem, patrz ryc. 8. Chusteczka trójkątna do ryc. 18 w N-rze 18.

Środkiem każdej fałdy tudzież podwójnie przy zapięciu naszyta 2 cent. szeroka pliska z materyału w kratę, podług ryc. 40.



N. 16. Princesse z trenem podniesionym za pomocą pazia.

N. 17. Suknia princesse i paletot. Patrz ryc. 18. Krój paletota na arkuszu N. II, Fig. 1—7.



N. 19. Mantyla z prostemi końcami. Patrz ryc. 28. Krój na arkuszu N. III, Fig. 15—15-a.

N. 18. Suknia princesse i paletot. Patrz ryc. 17.

N. 20. Mantyla z zaokrąglonemi końcami. Patrz ryc. 29. Krój na arkuszu N. III, Fig. 15—16-a.



N. 21—22. Okrycia z dolmanowemi rękawami. Przód i plecy. Patrz ryc. 32—33 i ryc. 12. Krój i opis na arkuszu N. IX, Fig. 44—48.

N. 23. Suknia z vetement. Patrz ryc. 23—36. Krój na arkuszu N. XX, Fig. 86—91.



N. 25. Ubranie spacerowe z szarfą Almée i mantylą chusteczkową. Patrz ryc. 31. Krój szarfy N. VIII, Fig. 40, mantyli N. X, Fig. 49—50a.

N. 24. Chusteczka i szarfa Almée do ubrania wizytowego. Krój szarfy Fig. 40 krój chusteczki N. XIIa, Fig. 57.

N. 16—18. Suknia i paletot princesse. Krój princesse znajduje się w dawniejszych N-rach; krój paletota na arkuszu z formami Fig. 1 — 7

Rycina 16 załącza suknię princesse do ubrania domowego, odrobioną z ciemnego wełnianego materyału, z jaśniejszemi lub odmiennego koloru wypustkami, z trenem który wychodząc na ulicę unieść trzeba za pomocą pazia. Jeżeli suknia ta ma stanowić ubranie spacerowe to dopełnia się paletotem z tego samego materyału, lub z innego wyrobu używanego na okrycia. Rycina 17 i 18 przedstawiają princesse wełnianą, koloru śliwkowego, a paletot z mohairu w kratkę czarną z białem; wypustki przy paletocie są śliwkowego koloru a przy sukni z mohairu w kratkę. Gustownie także można łączyć gładki piaskowy lub popielaty materyał z knickerbocker lub deseniowym wyrobem (noppé finistère) albo z gładkim ciemnego koloru.



N. 26—27. Mantyle nieprzedłużone z przodu. Krój na ark. N. X, Fig. 49 i 51 tudzież 49 b i 51 a



N. 28. Mantyla z prostemi końcami. Patrz ryc. 19.



N. 29. Mantyla z zaokrąglonemi końcami. Patrz ryc. 20



N. 34. Płaszczyk z wciętemi plecami. Patrz ryc. 39 w N-rze 18.



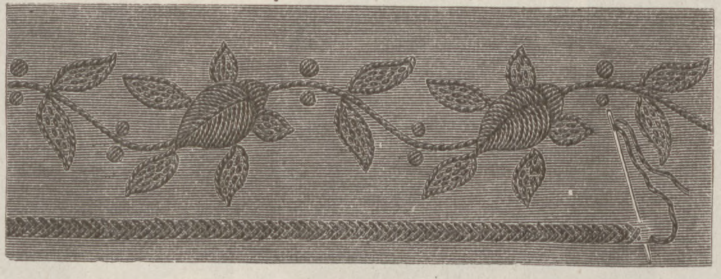
N. 31. Mantyla chusteczkowa patrz ryc. 25.



N. 32. Okrycie z dolmanowem rękawami. Patrz ryc. 21—22

Co do paletota to można przykrajać go podług formy mającej plecy z kilku części, jak na ryc. 35 w N-rze 18, lub podług płaszczyka ryc. 39 w N-rze 18 albo w dzisiejszym. Przody zapinają się na jeden lub dwa rzędy guzików; kołnierzyk może być prosty lub wykładany; rękawy i kieszenie ozdobić podług ryc. 17—18 albo podług 13—16 z przeszłego N-ru Tygodnika. Długość paletota odpowiednią być musi do wzrostu i do długości princesse; model który opisujemy miał z przodu 120, z tyłu 130 cent. długości a 240 obwodu dolnego. Linia kropkowana na Fig. 8 oznacza brzeg przedni, do którego przyszywa się kołnierzyk podany na Fig. 14. Na przecięcia 30 cent. długie, zapięte na guziki trzeba przy jednej połowie pleców nadać 4 cent. w szerz. Kapelusz z czarnej słomki, zdobny 6 cent. szeroką czarną i jasno-ponsową wstążką.

(dok. nast.)



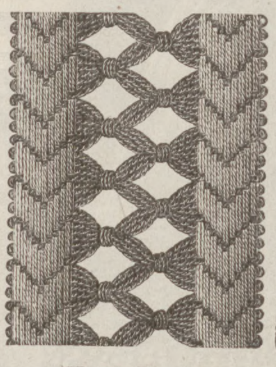
N. 30. Szlaczek do mantyli ryc. 29.



N. 37. Płaszczzk dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 38. Krój i opis na akuszu N. IV, Fig. 17—23.



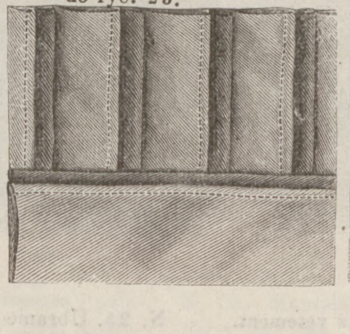
N. 25. Plecy nieodcinane do ryc. 23.



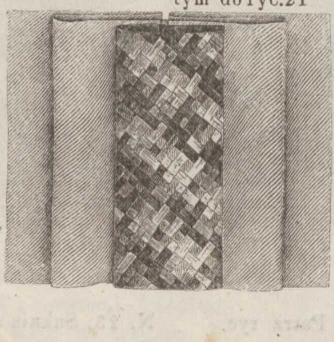
N. 33. Pasmanterya do ryc. 21.



N. 36. Plecy z brytem prostym do ryc. 21



N. 39. Pliski do ryc. 13.



N. 40. Plisy do ryc. 15.

O UBIORACH.

Bardzo modne przybranie sukien i paletocików stanowią guziki z konchy perłowej, kamienne, mozajkowe lub mieniące się w różne barwy, ozdobne z masy porcelanowej zwane: *boutons céramiques* i mniejsze kilkoma rzędami naszywane guziki „Sequins".

Podawszy ogólne wiadomości o sukniach i ich przybraniu, opiszemy szczegółowo modele jakie przeglądaliśmy w magazynie p. Thonnesowej.

Suknia z materyału wełnianego w zupełnie nowym rodzaju (tissu à fonds moucheté) o którym pisaliśmy wyżej, miała na tle mienionem w różne cienie rozrzucone prążki czarne i białe. Vêtement princesse z plecami złożonemi w fałdy zachodzące na siebie i przytrzymane dwoma rzędami guzików z konchy perłowej; u dołu fałdy rozchodziły się w bryt prosty podpięty nakształt pukla. Z przodu dodane były długie kamizelkowe przody wcięte do figury, złączone w górze kokardą dalej otwarte w całej długości; przody vêtement zapinały się pod kamizelką rzędem guzików. Przybranie z plis aksamitnych.

Suknia wełniana koloru piaskowego miała spódnicę z przodu szerzej ubraną a z tyłu oszytą plisowaną falbanką. Vêtement miało przody i plecy zdobne w zupełnie nowy sposób galonem haftowanym i materyą bronzową. W przodach galon i materya była wszyta przy ramionach szerzej a na wcięciu stanu węższej, z tyłu zaś przybranie to szło równo a od wcięcia stanu puszczone było nakształt prostych szarf, z pod których wysuwały się drugie końce z materyału sukni oszyte frendzlą i związane z sobą. W dolnej połowie przodów przechodziły dwie draperye zakończone frendzlą; górna połowa zapinała się na dwa rzędy guzików, odznaczających jakby kamizelkę. Rękawy z bronzowej materyi zdobne wełnianym mankietem i szlakiem z galonu.

(d. c. n.)



N. 38. Płaszczyk dla panienki lat 12—14. Plecy do ryciny 37.